

KRESOWIAK GALICYJSKI

ISSN 1426-4773



W NUMERZE:

- Narol przed i po II wojnie
- Młyn w Cieszanowie
- Moja wieś Rudka
- Kronika policyjna

Indeks 334596

MAGAZYN PUBLICYSTYCZNO-INFORMACYJNY POWIATU LUBACZOWSKIEGO

Nr 4 (209) www.kresowiakgalicyjski.pl

kwiecień 2014

Cena 2,50zł (wtym 5% VAT)

Powiat z unijną granicą



Na przestrzeni 30 kilometrów nasz powiat graniczy z Ukrainą i równocześnie z wschodnią granicą Unii Europejskiej. Granica ta już wrosła w pejzaż lubaczowskiej ziemi i nikogo ona nie dziwi. Rozczarowują się jednak wszyscy ci, którzy zbliżając się do niej, liczą na mocne wrażenia. Ot tak po jednej jak i po drugiej stronie podobny pejzaż: wyniosłe milczące lasy i wciśnięte w nie, niczym rozległe polany, łąki i pola. Na próżno wyciągać wzrok aby przeniknąć tę pustkę krajobrazu po drugiej stronie. Daremnie na odległych horyzontach szukać jakichś śladów życia. A jednak ten pas z zakazem przekraczania budzi różnorakie emocje. Każda granica ma bowiem w sobie coś niesamowitego i mistycznego. Bo to taka sama ziemia z drugiej strony a tak życie ludziom inne. W naszym powiecie granica od południa swój początek bierze w Skolinie i aż do Żmijowisk biegnie przez puste lekko sfalowane pola. Ale już od Wólki Żmijowskiej i prawie do Budomierza zanurza się w lasy. Tutaj znowu mamy łąki, i wśród pól wieś Budomierz z wybudowanym przejściem granicznym. I znowu aż prawie do Radruża lasy.

Maszerując dalej widzimy w prześwitach drzew domy. To Dziewięcierz wieś przepołowiona przez granicę, która przed wojną liczyła ponad 2000 mieszkańców i 12 przysiółków. A dziś zamieszkuje ją tylko około 200 mieszkańców. Jeszcze do 1948 roku duży cmentarz wraz z zespołem cerkiewnym w tej wsi był po stronie radzieckiej. Dlatego też dla zmarłych z tej wsi i okolicy utworzono nowy cmentarz. Dopiero w wyniku regulacji granic oba cmentarze znalazły się w powiecie lubaczowskim. Nieopodal przysiółek Moczary, wchodząc tutaj na pobliskie wzniesienie możemy zobaczyć poprzez przecinkę graniczną ukraińską część Dziewięcierza. I najdalej wysunięta na wschód w województwie podkarpackim mała wieś

Prusie z kapliczką Albertynek. Za Prusiem rzeka Rata i idąc dalej docieramy do pozostałości dawnego traktu łączącego Narol z Rawą Ruską. Tutaj też biegnie przecinająca granicę linia kolejowa ze stacją w Werchracie. Warto przypomnieć, że przez to przejście kolejowe w ubiegłym roku przejechało aż 372 pociągów.

Coś ze smutku mają przygraniczne odcięte od siebie bezdrożem miejscowości. Wyniosłe milczące lasy i budzące smutek osiedla. Osobliwe to widoki. Wszystko jest tu surowe i posępne. Fasady starych domów i tylko gdzieś tam mury. Tutaj kończą się drogi a wraz z nimi stagnacja gospodarcza. Stąd wszędzie daleko, do szkoły, do lekarza, do sklepu. Tu koniec świata można usłyszeć. Brak perspektyw powoduje, że ten teren się wyludnia i w swe posiadanie bierze go przyroda. Wspomniana wieś Prusie jeszcze w 1998 roku liczyła 86 mieszkańców a pięć lat później już tylko 75.

Powiat otwarty na wschód

Przez stulecia teren naszego powiatu był otwarty na wschód, na Kresy. W świadomości jego mieszkańców zdomowiony był Jaworów, Sambor, Żółkiew i oczywiście Lwów. Z miastami tymi związani byliśmy setkami nici. A Lwów stanowiący administracyjne, kulturalne centrum promieniował na nasz teren i brał powiat pod swe opiekunkę skrzydła. Miasto to, ze względu na wielonarodowość, bogatą historię miało w sobie coś z magi. Odwiedzanie Lwowa nobilitowało, podnosiło prestiż w środowisku. Jeżdżono tu po pracę, po naukę, do lekarza i adwokata, na jarmarki i na zakupy. Nie sposób było odwiedzić Lwów i wracać bez bagażu wrażeń, bez niekończących się o mieście opowieści. Oto tylko z lektury jednego numeru wychodzącego w Lubaczowie pisma „Maszerować” się dowiadujemy. - *Kompania Związku Strzeleckiego z powiatu lubaczowskiego w składzie 80 strzelców pod dow. kom. Józefa Argasińskiego z okazji 20 rocznicy odzyskania niepodległości wzięła udział w uroczystościach lwowskich w tym i w defiladzie. W Lubaczowie odbyło się posiedzenie Związku Obrońców Lwowa którego prezesem był Stanisław Michalski. Chór z Lipska wystąpił w uroczystości w Lwowie z okazji rocznicy wyzwolenia tego miasta. W Lubaczowie i w Cieszanowie obradowała sesja wyjazdowa Sądu Okręgowego z Lwowa. Takie informacje można zobaczyć niemalże w każdym numerze pisma.*

Oto przed wojną przez powiat lubaczowski
cd. na str. 3

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

Premier Donald Tusk w Lubaczowie

Premier Donald Tusk odwiedził (30.03) Lubaczów, gdzie w Gimnazjum nr 2 spotkał się z mieszkańcami miasta. Wcześniej, składając kwiaty pod pomnikiem w Rudce, oddał hołd ofiarom pomordowanym przez UPA w 70. rocznicę tragicznych wydarzeń.

W Lubaczowie premier zabierając głos powiedział, że warto się angażować w sprawy ukraińskie po to aby przyszła Ukraina była państwem niepodległym, demokratycznym i równocześnie pozbawionym nacjonalizmu, którego negatywne efekty odczuwali również mieszkańcy tego powiatu. Premier apelował aby Polacy pamiętając o tragicznej przeszłości potrafili budować dobre stosunki z Ukrainą. Równocześnie powiedział, że należy zrobić wszystko aby ludzie którzy z kultu Bandery czynią ideologię nie objęli władzy na Ukrainie.

Na spotkaniu przedsiębiorcy mówili że już skutki rosyjskiego embarga odczuwają hodowcy trzody a wkrótce mogą go doświadczyć również sadownicy. Padła opinia, że pomaganie Ukrainie odbywa się trochę kosztem Polski, ponieważ handel dziś wygląda o wiele gorzej. Odpowiadając na pytania premier wyjaśnił, że na Ukrainę nie będą wydawane pieniądze naszych podatników. Premier podkreślił, że Polska chce budować dobre relacje z Rosją, ale po aneksji Krymu nie może udawać że nie się nie stało.

NW

Napad na Bank Spółdzielczy w Wielkich Oczach

W Wielkich Oczach 14 marca około godz. 11.30 do Banku Spółdzielczego wszedł mężczyzna z gumową maską na twarzy. Wówczas w placówce było trzech pracowników (dwie kobiety i mężczyzna) oraz jedna klientka. Mężczyzna w masce trzymając w ręku pistolet i grożąc pracownikom śmiercią zażądał pieniędzy. Pracownik banku usiłował obezwładnić napastnika. Ten jednak oddał strzał i zranił w ramię pracownika po czym próbował uciekać. Drzwi zostały już jednak zablokowane. Napastnik próbował rozbić szybę antywłamaniową. Gdy próba się nie powiodła otworzył okno i wyskoczył na zewnątrz. Zauważył pusty stojący policyjny radiowóz, wskoczył do niego ale nie udało się mu go uruchomić, więc zaczął uciekać. Policjant wyruszył w pościg. Napastnik celował w stronę funkcjonariusza. Policjant zagroził, że będzie strzelał. W obezwładnianiu przez policjanta mężczyzny pomogli świadkowie wydarzenia. Zatrzymany 60-letni Lesław S. to były leśniczy i mieszkaniec gminy Wielkie Oczy. W przeszłości był już dwukrotnie karany za kłusownictwo oraz poświadczenia nieprawdy w dokumentacji. Teraz przedstawiono mu zarzut popełnienia czterech przestępstw: usiłowania
cd. na str. 2

W POWIECIE LUBACZOWSKIM

rozboju z użyciem broni palnej, nielegalnego posiadania dwóch sztuk broni palnej i amunicji, spowodowania rany postrzałowej prawego ramienia u pracownika banku oraz stosowania groźby i przemocy w celu zmuszenia pracowników banku oraz funkcjonariusza policji do odstąpienia od ujęcia i zatrzymania go jako sprawcy przestępstwa. Ranny pracownik banku trafił do szpitala. Jego życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Podczas przesłuchania podejrzany nie przyznał się do popełnienia zarzucanych przestępstw i wyjaśnił, że nie pamięta okoliczności zdarzenia. Sąd Rejonowy w Lubaczowie zastosował na wniosek prokuratora środek zapobiegawczy w postaci tymczasowego aresztowania na trzy miesiące. Wobec Lesława S. może być orzeczona kara od 3 do 15 lat pozbawienia wolności.

MW

Oddział Celny w Budomierzu

Z dniem 1 kwietnia na przejściu granicznym Budomierz-Hruszew otwarto Oddział Celny. Do tej pory kontrola celna wykonywana była w ramach tzw. miejsca wyznaczonego, działającego przy Oddziale Celnym w Korczowej. Wraz z formalnym powołaniem Oddziału Celnego w Budomierzu, staje się on komórką organizacyjną podlegającą bezpośrednio Naczelnikowi Urzędu Celnego w Przemyślu. Obsługa podróżnych będzie prowadzona na dotychczasowych zasadach, zaś wprowadzenie zmian nie spowoduje żadnych zakłóceń w bieżącej pracy przejścia granicznego. Dodatkowo, z dniem 1 kwietnia br. Oddział Celny w Budomierzu obejmie swoim nadzorem towary przemieszczane przez granicę transportem kolejowym przez przejście Werchrata-Rawa Ruska, gdyż utrzymywanie tam odrębnej komórki organizacyjnej, ze względu na znikomy ruch towarowy, okazało się być niezasadne. Również w tym przypadku, nie przewidywane wystąpienia utrudnień po stronie podmiotów gospodarczych obsługiwanych przez Służbę Celną. Funkcjonariusze Oddziału Celnego w Budomierzu będą w ramach swoich obowiązków dojeżdżać do każdego międzynarodowego pociągu towarowego obsługiwanego, jak dotychczas, w stacji Werchrata.

IC Przemyśl

„Ballada o Wołyniu” w Lubaczowie

W Lubaczowie (23.03) na zebraniu z udziałem społeczności Lubaczowa, przedstawicieli władz w tym prezydenta Stalowej Woli ukonstytuował się społeczny komitet budowy pomnika ku czci pomordowanych przez UPA mieszkańców powiatu lubaczowskiego w składzie: przew. Zbigniew Słotwiński, wice. Andrzej Szlęzak – prezydent Stalowej Woli, sekretarz Marek Górski, rzecznik prasowy Małgorzata Dachnowicz. Wybrany przewodniczący Zbigniew Słotwiński zapowiedział, że komitet z miejsca przystępuje do aktywnej działalności. Nastąpi jego rejestracja. Ogłoszony zostanie konkurs na projekt pomnika, rozpoczniemy opracowanie listy pomordowanych jak też starania o środki. Zwrócimy się również do władz miasta o wyznaczenie lokalizacji przyszłego pomnika. W kolejnym punkcie zebrani oglądali spektakl pt. „Ballada o Wołyniu” w reżyserii Tomasza A. Żaka. „Ballada o Wołyniu” wykorzystuje fabularne wątki powieści Włodzimierza Odojewskiego „Zasypie wszystko, zawieje”. W inscenizacji obecne są również stare pieśni – polskie i ukraińskie. Treścią spektaklu są równoległe prowadzone losy trzech młodych kobiet, szukających się na własne goody, które okazały się jednak nie czasem wesela, ale czasem śmierci.

MW

Trzynasty Plebiscyt rozstrzygnięty

Mateusz Kubiszyn i Witold Zaborniak zwycięzcami plebiscytu na najlepszego sportowca i trenera ziemi lubaczowskiej za 2013 rok

Gala ostatniego, trzynastego Plebiscytu na Najlepszego Sportowca i Trenera Ziemi Lubaczowskiej odbyła się 14 marca w Miejskim Domu Kultury w Lubaczowie. Swoim występem uświetnił ją zespół wokalno-instrumentalny S-23, prowadzony przez instruktora kulturalnego Piotra Kaczora. Galę poprowadziła dziennikarka „Echa Rostocza” i redaktor Lubaczowskiej Telewizji Internetowej Iwona Buczek oraz były dyrektor Powiatowego Centrum Kultury i Sportu Marian Bobeck. „Wszyscy nominowani w plebiscybie, odznaczając się niebywałą pracą, wytrwałością i niezapomnianymi osiągnięciami sportowymi, zasługują na podziw i serdeczne gratulacje. Wszystkim sportowcom i trenerom życzę dalszych sukcesów oraz niezapomnianych wrażeń podczas tej uroczystości” – napisała w liście gratulacyjnym wojewoda podkarpacki Małgorzata Chomycz – Śmigielka.

- Kultura i sport promuje nasze miasto i gminy w województwie i kraju, a nawet i Europie. Swoimi występami, startami w zawodach promujecie i rozświecacie swoje miejscowości na zewnątrz. Jesteśmy dumni z waszych osiągnięć. Jesteście naszymi ambasadorami. Jako samorządowcy będziemy wspierać tę działalność. Jedną z form docenienia waszej pracy

jest właśnie ten Plebiscyt. Żeby wygrać trzeba pracować. Praca sportowca to trening pod okiem trenera. Dziękujemy wam, waszym trenerom i działaczom sportowym, którzy przyczynili się do tych osiągnięć i życzymy



Plebiscyt na najlepszego sportowca

dalszych sukcesów. – powiedział starosta lubaczowski Józef Michalik. W tegorocznej edycji plebiscytu zrezygnowano z wyboru najpopularniejszego sportowca i trenera. Kapituła Honorowa złożona z burmistrzów i wójtów gmin ziemi lubaczowskiej pod przewodnictwem starosty lubaczowskiego Józefa Michalika wybrała najlepszych sportowców spośród 35 zgłoszonych do plebiscytu. Zwyciężył Mateusz Kubiszyn, który zajął pierwsze miejsce na Mistrzostwach Polski Kickboxingu Full Contact w Kurzędniku, drugie miejsce w Mistrzostwach Okręgu Podkarpackiego w Boksie w Sanoku i trzecie miejsce w Pucharze Polski K-1 Rules w Starachowicach. Kolejne miejsca zajęli: karateka i członkini klubu lekkoatletycznego „Różanka” Anna Szałańska z Rudy Różanieckiej, Hubert Gorycki, Jan Gorycki, (oba bracia są członkami klubu pływackiego „Delfin” w Horyńcu Zdroju) warcabista klubu LKS „Unia” w Horyńcu Zdroju Klaudia Zaborniak i piłkarz Jakub Kida z Lubaczowa. W kategorii najlepszy trener zwyciężył Witold Zaborniak, nauczyciel wychowania fizycznego w Gimnazjum nr 2 w Lubaczowie i trener piłki nożnej w Miejskim Ośrodku Sportu w Lubaczowie. Jego podopieczni zajęli 1 miejsce w Okręgowej Lidze Juniora Starszego w piłce nożnej w sezonie 2013/2014, 1 miejsce w II etapie Powiatowego Ogólnopolskiego Turnieju Coca Cola Cup 2013, wywalczając awans do etapu wojewódzkiego. Kolejne trzy miejsca zdobyli trenerzy: Wojciech Grudowski z Horyńca Zdroju, Jerzy Pałczyński z Rudy Różanieckiej i Krzysztof Milo z Wielkich Oczu. Zwycięzcy plebiscytu otrzymali puchary i cenne nagrody, a wszyscy nominowani pamiątkowe dyplomy.

Po gali zawodnicy, trenerzy, działacze sportowi oraz przedstawiciele władz samorządowych spotkali się na poczęstunku przy stole szwedzkim, przygotowanym przez Zespół Szkół w Oleszycach. Była okazja do kontynuowania rozmów o lubaczowskim sporcie.

Adam Łazar

„Cynowy” Jubileusz Oddziału Rehabilitacji Ogólnoustrojowej i Neurologicznej SP ZOZ w Lubaczowie

Poniżej wyeksponowana fotka, to nie okolicznościowe ujęcie rejestrujące uczestniczki oraz jury konkursu piękności i kobiecej urody, ale pamiątkowe zdjęcie prezentujące kadrę Oddziału Rehabilitacji SP ZOZ Lubaczów zrobione końcem karnawału w trakcie - wręcz prywatnych - wewnątrzoddziałowych integrujących zespół (Oddział) obchodów dziesięciolecia jego zaistnienia oraz moment podsumowania jego służby na rzecz ludzi potrzebujących fachowego wsparcia i profesjonalnej pomocy.

Oddział Rehabilitacji Ogólnoustrojowej SP ZOZ w Lubaczowie funkcjonuje od 05.01.2004 r. i jako pierwszy wprowadził się do nowo wybudowanego budynku szpitala zajmując jego IV piętro, zaś cyfra 24, to początkowa ilość jego łóżek. W 2012 r. reorganizuje się w Oddział Rehabilitacji Ogólnoustrojowej (22 łóżka) i Oddział Rehabilitacji Neurologicznej (15 łóżek). W związku ze zwiększeniem ilości łóżek początkiem tegoż jego Dział Fizjoterapii przeniesiono na poziom „-1”, czyli do piwnicy szpitala.

cd. na str. 3

cd. ze str. 1

Powiat z unijną granicą

kursował pociąg pośpieszny relacji Lwów - Kraków. To przede wszystkim do Lwowa na studia trafiała stąd młodzież. Warto o tym pamiętać! Właściciel Folwarku Liptaj w Łowczy dla fantazji, w towarzystwie kobiet, na kawę samochodem wpadał do Lwowa. Powiat lubaczowski miał więc szeroki oddech na wschód. Szlaki komunikacyjne przecinały go we wszystkich kierunkach. Owocowało to szerokimi kontaktami i horyzontami jego mieszkańców.

Nowa granica powiatu po II wojnie światowej

Po II wojnie światowej powiat lubaczowski pozbawiony wschodniego zaplecza od podstaw musiał budować swą nową tożsamość. Zamiast szerokiego oddechu Kresów mieliśmy przez dziesięciolecie skobel na granicy. Pozbawieni zostaliśmy Lwowa. A pobliski Jarosław, Przemyśl nie był w stanie przyjąć roli analogicznych miast polskich na wschodzie. Miejsca Lwowa w świadomości mieszkańców nie zastąpił też Rzeszów, który jest zbyt odległy i nie ma tej magii jak Lwów.

Wyjazd z Polski na Ukrainę do 1991 r., czyli w okresie jej przynależności do ZSRR był ściśle reglamentowany. Dopiero po transformacji ustrojowej w 1990 roku i powstaniu państwa ukraińskiego nastąpił olbrzymi wzrost ruchu granicznego, który w zdecydowanej większości wiązał się z tzw. handlem bazarowym. Pojawiły się również inicjatywy umów i porozumień do wzajemnych kontaktów samorządów przygranicznych. Już w 1997 roku w Cieszanowie odbywa się wspólna sesja rajców miejskich Żółkwi i Cieszanowa. A w 2004 roku miała miejsce wspólna sesja powiatu jaworowskiego i lubaczowskiego. Współpraca i kontakty samorządów przygranicznych stały się stałą praktyką. Niestety po dzień dzisiejszy niewiele uczyniono, poza szumnymi zapowiedziami o współpracy, aby te spotkania miały realny wpływ na zbliżenie obu społeczności przygranicznych.

Przejsie graniczne w Budomierzu

W grudniu 2013 r. otwarto w Budomierzu długo zapowiadane imponujące, nowoczesne przejście graniczne. Wszyscy począwszy od wójta, starosty, wojewody, marszałka przepisują sobie znaczącą rolę w jego powstaniu. Jego budowa rozpoczęła się w 2010 r. kosztowała 146 mln złotych, w części została sfinansowana z pieniędzy unijnych. Pracuje tu ok. 70 celników, ponad 100 strażników granicznych i kilkunastu pracowników administracyjnych. Cała infrastruktura przejścia znajduje się po polskiej stronie. Na 8 pasach są odprawiane samochody osobowe, autobusy oraz samochody ciężarowe o ładowności do 3,5 tony. Przejście ma przepustowość około 3 tysięcy samochodów i 8 tysięcy osób na dobę.

Już od szeregu lat roztaczano miraż, że wraz z otwarciem przejścia, nastąpi niebywale ożywienie gospodarcze powiatu. Snuto prognozy, że mrowie podróżnych, którzy będą trafiać w nasze strony wpłynie na rozwój turystyki, rozbudowę bazy gastronomicznej i hotelowej. Równocześnie zakładano że Polacy zaczną wyjeżdżać na Ukrainę do Lwowa i innych miast aby tropić ślady polskości. Po prostu wiele ludzkich nadziei na tym przejściu zawisło. Za wcześniej mówić czy te prognozy się sprawdzają. Póki co ruch na przejściu nie jest duży a przyjeżdżający Ukraińcy co najwyżej wykupując artykuły spożywcze nabijają kasę markom Tesko i Biedronki. Ruch graniczny ułatwia umowa o Małym Ruchu Granicznym z Ukrainą. Dzięki niej mieszkańcy 30-kilometrowej strefy przygranicznej w znacząco ułatwiony sposób mogą przekraczać granicę bez wizy i pieczętów w paszporcie, a jedynie ze specjalnym zezwoleniem, wydawanym przez placówki dyplomatyczne.

Przejście graniczne niestety niesie również pewne patologie jak próby przemycania zakazanych artykułów, tworzenie się różnych grup przestępczych. Granica biegnąca przez lasy to wygodne miejsce dla amatorów jej przekraczania. Stąd kilka razy w roku straż graniczna wpada na trop nielegalnych przybyszów. Trafia tu cały Bliski Wschód, Irańczycy, Irakijczycy, Pakistańczycy. Nie brak też przybyszów nawet z Afryki. Przekraczając granicę unijną bez problemów później dostają się do wszystkich krajów zachodnich.

Wydarzenia na Ukrainie

Wydarzenia na Ukrainie cieniem kładą się na naszą wschodnią granicę i kontakty graniczne. Nie brak polityków, którzy wręcz zapowiadają wojnę. Przewidują, że wówczas wszystko się może wydarzyć, łącznie z falą uchodźców z Ukrainy. Jeśli tak by się stało czekałby nas trudny egzamin z humanitaryzmu. Już teraz budzą się upiory przeszłości. Odżywają mroczne wspomnienia, tym bardziej, że na Ukrainie do głosu i do władzy doszli również ludzie dla których Stefan Bandera to bohater.

Miejmy nadzieję, że jednak dojdzie do stabilizacji politycznej na Ukrainie i wraz z już otwartym przejściem granicznym w Budomierzu mit utrwalanej przez dziesięciolecie nieprzenikalnej a nawet groźnej granicy będzie się coraz bardziej rozwiewał. W ślad za tym będą poszerzać się nasze kontakty z Kresami, które niby tchną już bardzo odległą historią ale zarazem wciąż są nam bardzo bliskie, niemal obecne. Budzą one nostalgii, żal, że bezpowrotnie ta kraina dla nas stracona, równocześnie jest przekonanie, że duchowo są one wciąż nasze.

Marian Ważny

cd. ze str. 2

„Cynowy” Jubileusz Oddziału



Oddział w niezbędny sprzęt doposażono wykorzystując m.in. środki w ramach Projektu Wyrównywania Różnic Między Regionami w latach 2012 – 2014, czy korzystając z docelowych programów PFRON. Obowiązki ordynatora od początku jego zaistnienia sprawuje lek. med. **Renata Lesiczka**.

Powyżej wyeksponowane zdjęcie ukazuje nam obecną kadrę Oddziału, a tworzą ją:

Lekarze: Ordynator - lek. med. **Renata Lesiczka** (II* rehabilitacja medyczna, I* choroby wewnętrzne), lek. med. **Bogdan Ćwikła** (II* neurologia)

Fizjoterapeuci: Dorota Łuczyszyn, Iwona Wojtasik, Dorota Olszewska, Piotr Wójciak, Anna Szczepiwiłk, Sylwia Kłaczko, Barbara Żurawel, Marzena Majczak, Agnieszka Kąkol oraz masażysta Paweł Rogowski.

Pielęgniarki: Anna Mach, Grażyna Wicińska, Halina Gliniak, Beata Marynicz, Małgorzata Gnap, Agnieszka Krzych, Barbara Hacıuk, Elżbieta Horodko, Anna Skibicka, Agata Lepcio, Urszula Pukas, Anna Czereba, Krystyna Zych.

Opiekun medyczny: Dorota Mizyn, logopeda: mgr Aleksandra Karakuła, psycholog: mgr Diana Puchalska, terapeuta zajęciowy: mgr Ilona Mazurkiewicz

Panie sprzątające: Danuta Oleszycka, Irena Wawreńczuk, Maria Kolano

Oddział Rehabilitacji Ogólnoustrojowej i Neurologicznej SP ZOZ w Lubaczowie realizuje świadczenia zdrowotne w zakresie badań diagnostycznych, ćwiczeń/zabiegów, farmakoterapii. Czas rehabilitacji, to 2-6 tygodni; w tym minimum 5 zabiegów dziennie realizowanych w cyklach do i popołudniowych przez 6 dni w tygodniu.

Zakres leczenia usprawniającego obejmuje: - rehabilitację narządu ruchu z uwzględnieniem pacjentów po urazach, zabiegów operacyjnych, w zaostrzeniach chorób przewlekłych, usprawnianie protezowanych po amputacjach, zmianach zwyrodnieniowych stawów odwodowych o różnej etiologii, zespołów bólowych kręgosłupa, choroby przeciążeniowe narządu ruchu, zespoły algodystroficzne i zaburzeń ukrwienia kości, którzy jednocześnie wymagają innych działań terapeutycznych, edukacyjnych, profilaktycznych i diagnostycznych.

- rehabilitacja pacjentów ze schorzeniami neurologicznymi, m.in. porażenia i niedowłady będące skutkiem uszkodzeń układu nerwowego o różnej etiologii, którzy ze względu na kontynuację leczenia wymagają stosowania kompleksowych procedur rehabilitacyjnych oraz całodobowego nadzoru lekarskiego i pielęgniarskiego.

Większość z nich w ciągu roku cyklicznie pracuje w Dziale Fizjoterapii lubaczowskiego SP ZOZ świadczącego usługi ambulatoryjne. Średnio w ciągu roku przez Oddział przewija się ponad 600 osób, przez ambulatoryjny Dział Fizjoterapii około 1200 pacjentów.

Z okazji jubileuszu wszystkim Paniom należy życzyć, aby do kolejnego okrągłego – już „porcelanowego” – dotrwały w takiej formie, jaką prezentują na dołączonym zdjęciu; wszystkim wdzięczności pacjentów, satysfakcji w pracy oraz przychylności NFZ bez którego finansowania nie da się utrzymać tak renomowanego i potrzebnego w skali makroregionu oddziału.

Zygflor
2014-03-08

W przedwojennym i powojennym Lubaczowie. Ulica Kościuszki (8)

W stronę Młodowa

Idąc w Lubaczowie ulicą Kościuszki w stronę Młodowa, po minięciu skrzyżowania z uliczką Orzeszkowej i placu z Figurą, natkniemy się na sklep spożywczy. Był w tym miejscu potrzebny. Powstał na nabytym za „państwową stawkę” przez Miejską Spółdzielnię Zaopatrzenia i Zbytu placu Adolfa Butyńskiego. Przez tę spółdzielnię był prowadzony. Było jak było. Starsi wiedzą, młodzi nie uwierzą że był i taki czas, że „było że nic nie było”. Obojętnie jaki towar dowieźli, pod sklepem już stała kolejka. Wtedy sklep przez pół dnia i dłużej był zamknięty a na drzwiach zawieszana była kartka z odręcznym napisem: „*PRZYJĘCIE TOWARU*”. Potem sklep ten nabyli i przez kilkanaście lat prowadzili Jadwiga i Wacław Winiarzowie. PRL-owski sklep okresowo straszący na przemian pustymi półkami i kolejkami, od kiedy stał się własnością prywatną zyskał na ofercie ale i na wyglądzie (budynek i otoczenie), estetyce i kulturze obsługi. Z przyjemnością tam robili zakupy moi rodzice i ja. Obecnie prowadzi go nowy nabywca - Elżbieta i Roman Grabasowie. Mieszkańcy chwalą sobie dbałość o klienta, zaopatrzenie i obsługę, mówią: „*oby tak dalej...*”.

Na kolejnych trzech parcelach przed wojną stały domy żydowskie. Na pierwszej dom rodziny Remerów. Mieli syna Józefa. Prowadzili w domu sklepik spożywczy, w nim różnorodność określana wówczas jako „szwarc, mydło i powidło” [„szwarcem” w Galicji nazywano czernidło do butów]. Ludzie kupowali u Remera np. za 10 groszy cukru (kg byłby za 1 zł). Dziś znamy wyłącznie kilogramowe torebki z cukrem, a wtedy był w workach i dopiero sprzedawca nabierał szufelką i ważył ile kto chciał. Był tu także chleb, sól, śledzie i nafta do lamp. Remerowie byli dobrymi ludźmi i sąsiadami, w sklepie byli na zmianę - on i ona. Sprzedawali też „na borg” [kredyt] i „na książeczki”, ale „na książeczki” mogli sobie pozwolić ludzie którzy mieli dochód - pensję i na koniec miesiąca mieli z czego spłacić. W okresie II wojny i okupacji niemieckiej gdy okupant tworzył w Lubaczowie getto żydowskie, Helenę Remerową z synem na usilne prośby tychże zgodził się wywieźć (mówiono że nocą i w szafie by nikt nie widział) i w okresie 1942-1945 ukrywał **Antoni Dorota** z Młodowa. W tym czasie Remer uciekł z Lubaczowa i ukrywał się w Krakowie. Po przejściu frontu Remerowa wyjechała do Krakowa, tam urodziła się ich córka Anna. Potem, prawdopodobnie w latach 60. wyjechali na stałe do Kanady do Toronto a córka do Izraela. W kolejnym domu mieszkali Żydzi co mieli córkę Bałkę (nazwiska nie udało się ustalić), bawiła się i przyjaźniła z miejscowymi dziećmi sąsiadów. Pierwszy z domów (obecnie 100-letni) posiadał wspomniany wyżej A. Dorota (zm. w 1982 r.) a potem jego najstarsza córka - **Anna i Tadeusz Jędruchowie**, dziś - wnuczka Monika i Wojciech Szwedowie. Jędruchowie mieli dwóch synów i córkę Barbarę (pm. Domańska). Na drugiej posesji własności naprzód **Nicpanów** a potem **Anieli i Władysława Chamców** nowy dom wybudowali **Maria i Piotr Chamcowie**. Na trzeciej **Anieli** (c. Doroty) i **Bolesław Mirkowscy**, potem własność jej siostrzeńca Stanisława Mirkowskiego, obecnie nowy nabywca Jerzy Misztal. B. Mirkowski był żołnierzem w koszarach i przysłał żonę poznał dosłownie z domu z naprzeciwka. Na końskim targu kupił parę mocnych koni roboczych i jako wozak na swym nad podziw ładownym wozie ciągniętym przez „Karego” i „Kasztana” przewoził wg zamówień węgiel, żwir, piasek itp. Był silnym mężczyzną, jednak zmarł mając zaledwie 44 lata. Po wojnie była to pierwsza „jednoosobowa firma przewozowa (konna)” w Lubaczowie.

Na kolejnym pustym placu stanął murowany dom **Antoniny i Michała Piórow**. M. Pióro przez kilkadziesiąt lat był dyrektorem Szkoły Zawodowej w Lubaczowie. Ci co go znali wspominają go jako dyrektora bardzo wymagającego, jednocześnie jako osobę mądrą, doskonałego psychologa i człowieka przez wielkie „C”. Łatwo nawiązywał kontakty z nauczycielami, uczniami i rodzicami. Rodzice często spotykający się z nim na wywiadówkach uwielbiali go bo każdemu dziecku dawał drugą a nawet trzecią szansę. Ich córka Małgorzata - sędzina Sądu Okręgowego w Katowicach, wyszła za mąż za Tadeusza Turka z Lubaczowa.

Za Piórami dom **Anny i Piotra Tabaczków**. Piotr był przedwojennym oficerem, mieszkali w Warszawie. Z myślą o emeryturze wybudowali przed wojną w Lubaczowie stylowy parterowy dom. W czasie okupacji sowieckiej byli wywiezieni na Sybir, tam zmarła ich jedyna cór-

ka 9-letnia **Basia**, ciężko to przeżyli. Wstąpienie do tworzonego za zgodą Stalina w ZSRR wojska polskiego było dla Polaków jedyną szansą na wydostanie się z sowieckich łagrów i więzień. Piotr z Armią gen. Władysława Andersa przez Iran i Irak przedostał się do Europy, walczył pod Monte Cassino. Przeżył. Z żoną spotkali się w Anglii gdzie przez pewien czas mieszkali. W latach 60. wrócili do swego domu w Lubaczowie i tu dopełnili reszty życia. Dom stał się własnością bratanka Piotra - **Romana i Katarzyny Tabaczków**. Gdy uczęszczałem do w Szkoły Podstawowej nr 2 przy ul. Tartacznej w Lubaczowie, pani Katarzyna była moją nauczycielką języka polskiego. Na pewno wówczas nie wiedziała, że ten niekiedy niesforny i sadzany za karę z dziewczyną chłopiec będzie ją kiedyś w „Kresowiaku” mile wspominał. Wydaje mi się że dużo wyniosłem z tej nauki ale... jako jedynie „polonista wśród inżynierów” szczerzej oceny bałbym się.

Za Tabaczkami był przed wojną dom **Adeli i Janiny Rychterównych** - panien, urzędniczek Wydziału Powiatowego. Dom sprzedany **Pietruchom**, po nich córka, potem nowy dom Krystyny i Jana Mudreckich. Do niedawna w części domu (po schodkach) prowadzili sklepik spożywczy.

Następnym był dom **Szopińskich**, potem do wojny ich córki **Janiny Login** - nauczycielki szkoły w Młodowie. Od jesieni 1944 r. Janina reaktywowała młodowską szkołę i do 1954 r. do emerytury była jej kierownikiem. Ponieważ jej dom był częściowo zniszczony w działaniach wojennych, do śmierci mieszkała w wynajętym od Kocielskich domu w głębi ul. Kościuszki po drugiej stronie ulicy a starym dom wynajmowała rodzinie stolarza **Michałca** i jego syna **Romana**. Potem plac został sprzedany w części sąsiadom Mudreckim, w części **Lidii i Rudolfowi Wlazłom**.

Na następnym placu przed wojną stylowy dom podobny do domu P. Tabaczka postawili **Michalina i Julian Kartasińscy**. On - przedwojenny sierżant 39. pp w Lubaczowie, posiadał order Virtuti Military z wojny 1920 r. Zginął 16 IX 1939 w kampanii wrześniowej. Dom stał się własnością córki - Lidii a następnie jej córki Alicji i Mieczysława Jarzabów. Przed wojną w tym rejonie i aż po Młodów były tylko dwa domy murowane, Tabaczka i Kartasińskiego.

Kolejne przedwojenne posesje... Dom **Żukowiczów** - emerytowany urzędnik, potem jego syn **Roman i Franciszka Żukowiczowie**, dom sprzedany Leszkowi (s. Michała) i Marii Franasom, obecnie nowy dom murowany jego syna Arkadiusza i Małgorzaty F.; Dalej drewniany dom **Stanisława Argasińskiego** - murarz, potem własność **Anieli** z d. Argasińskiej i **Michała Franasów** - stolarza seniora. Obecnie mieszka w nim prowadzący stolarnię jego syn Zenon F. (chodziłem z nim do podstawówki). Po stolarni Zathejów stolarnia Franasów była drugą stolarnią w Lubaczowie; Drewniany domek **Heleny i Grzegorza Argasińskich** - on syn murarza i też murarz, potem syn **Marian** i Janina Argasińscy z synami; Następny duży drewniany dom **Antoniego Leji** - gajowego w lasach hrabiego Agenora Gołuchowskiego. Wynajmował go polskiemu oficerom z 39 pp. (koszary niemal naprzeciw), mieszkali tu dwie rodziny oficerskie. Podczas okupacji sowieckiej dom zajęli oficerowie sowieccy z rodzinami, a w czasie okupacji niemieckiej - Niemcy. Po wojnie mieszkał tu jego syn leśnik **Józef Leja** z rodziną, i siostry **Lejówne - Elżbieta i Stanisława**; Kolejnym był drewniany dom **Tadeusza i Franciszki Fusińskich**, potem jego syn malarz pokojowy **Florian Fusiński (Lolek)**, następnie syn tegoż - **Wacław F.** z żoną i córkami (pracownik piekarni, zmarł tragicznie); Dalej - pusty plac, potem własność **Kłosa**, dziś w głębi murowany dom.

Starałem się przywołać dużo nazwisk (nieżyjący - grubsza czcionka), bo „życie składa się z ludzi”. Bez nich nie byłoby miast. Zatem warto chronić od zapomnienia tych co je tworzyli i tworzą.

Adam Szajowski

Narol - przed i po II wojnie... (I)

To bardzo dobrze, że w prasie ogólnopolskiej, regionalnej oraz lokalnej, zamieszczane są art. na temat a jak to było przed wojną. Starsi niestety odchodzą, często zapominają kto to jest na zdjęciu, a historycy w książkach wszystkiego znaleźć nie mogą, bo tych drobnych spraw życia codziennego w nich nikt nie opisywał...- tymczasem to właśnie one składają się razem na ten prawdziwy obraz tamtych czasów. To prof. Wiktor Sukiennicki (z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie) - powiedział do mnie podczas dyskusji historycznej przed laty cyt. z pamięci: „Nie mamy się co spierać, proszę uważnie popatrzeć na obraz Matejki lub Rodakowskiego, tam wszystko widać, oni żyli bliżej tych historycznych czasów niż my - a każdy z nas ma inną wyobraźnię” Popatrzyłem do albumu i to Prof. miał rację!



Foto-1

Jeżeli dzisiaj ktoś pisze prawdę o tym co było przed, podczas i po II woj. światowej - to moja ocena jest: dobrze. Natomiast, jeżeli ktoś pisze prawdę i może ją dodatkowo udokumentować starą fotografią (choćby była słaba technicznie) - to moja ocena jest: bardzo dobrze! Zapisany obraz nawet na starej kliszy fotograficznej - kłamać nie może. Np. mam kopię I historycznego zdjęcia wykonanego przez W.C. Röntgena - przedstawia lewą dłoń jego Żony z pierścionkiem! Ono nie odpowiada dzisiejszej jakości - ale jego autentyczność jest niepodważalna i młodzi lekarze oglądają zdjęcie zawsze pełni podziwu, obojętnie w jakim mieście w Polsce. Jest 1938r - (Foto-1) świąteczny dzień 3 Maja, jest parada kompanii Wojska Polskiego w centrum Narola, przed Kościołem. Ale w uliczce do Kościoła widzimy niewielki dom (nazywany chyba z j. tatarskiego) „kuczka” a obok jest mała komórka na drzewo i „wychodek” bo tak się „przybytek” kiedyś nazywało. Wszystkim było wstyd jak opowiadał mi p. Władysław Wolańczyk, ale dopiero właściciel (Żyd) większego domu na prawo na jesieni dobudował nową część do swego, co widzimy już na następnym.. Jest 1939r - (Foto-2) wiosna ludzie wyszli z Kościoła w niedzielę, w środku najwyższy z kapeluszy na głowie to ks. Leon Janczewski, a drugi po jego lewej ręce to mój stryj Roman Zuchowski, po prawej dowódca kompanii WP z Rudy Różanieckiej, a obok niego ten z brodą to organista p.



Foto-2

Garda, (który ufundował okrągły obraz olejny jaki wisi u góry w ołtarzu głównym w Kościele) - 3 dom widoczny tylko częściowo, to dom mego Dziadka.

I- Każdy kto uczył się minimum historii wie bardzo dobrze, że na Polskę (Polaków, Żydów i innych mniejszości razem w niej mieszkających) napadli Niemcy (wojsko wszelkich rodzajów broni) dnia: 1.09.1939r. oraz że to: 1a- Niemcy mordowali Żydów, 1b- Niemcy konfiskowali żydowskie majątki (pieniądze, złoto, obrazy... itp.), 1c- Niemcy często palili ich domy, sklepy, warsztaty itp. 1d- Niemcy wypędzając Żydów (oni ratowali swoje życie) zmuszeni byli zostawić swe mienie bez opieki, na pastwę losu, bez uzgodnienia nawet z najbliższymi sąsiadami jakichkolwiek warunków opieki: pilnowania, dozoru, zabezpieczenia przed włamaniem czy pożarem, oraz upoważnienia do tymczasowego używania np. domu - wobec administracji okupacyjnej (do czasu powrotu prawowitych właścicieli) oraz określenia, kto będzie płacił za konieczne remonty i podatek lub czynsz od domu/budynku i za-sady jego zwrotu, po zakończeniu wojny... - ?

Foto-3: ten sam dom co na Foto-1 i 2 - po spaleniu we wrześniu 1939r - jego właścicielem był Żyd.

2- Każdy kto uczył się min. historii wie bardzo dobrze, że na Polskę - 17.09.1939r napadli Rosjanie to: 2a- Rosjanie mordowali Polaków, np.



Foto-3

Katyń i wiele innych miejsc kaźni... 2b- Rosjanie rabowali polskie domy, pałace, kościoły a nawet cerkwie! np. w Kalnikowie. 2c- Rosjanie palili polskie domy... 2d- Rosjanie wywozili Polaków na Sybir, ale Żydów to już w „cieple” kraje np. Kazachstan itp.

To NIE Polacy zmusili Żydów do - pozostawienia mienia! Co za mienie zostawili Żydzi w całej Polsce -? Tego nikt dokładnie nie wie, ale kilka szczegółów np. z Narola znam z opowiadań Ojca, Stryja i Sąsiadów...

Bank. Opowiadał mi o nim śp. Stanisław Zuchowski - ojciec.

Obok domu mego Dziadka,

był „bank Federbuscha” o powierzchni 4x4 metry, za ladą stał bankier, a w niej w szufladzie bez zamka trzymał pieniądze, pożyczal na wexel, na 10% płatne z góry (lichwa). Chcąc pożyczyc np. 100zł podawał swe: imię, nazwisko, adres i składał podpis, wtedy bankier wyjmował pieniądze w banknotach po 10zł i liczył: 10, 20, 30... dochodząc do 90zł, które wręczał pożyczającemu - a 10zł chował do kieszeni, mówiąc to właśnie mój procent. Koniec transakcji. Za ścianą banku był pokój mieszkalny (sypialnia) też 4x4 metry, za nią kuchnia i sień też 4x4 metry, razem 12x4m. Bankier szufladę na noc chował do szafy i to było wszystko. Pytanie jest - jak sprawiedliwie taki „bank” wycenić? Foto-4: bank to 1-y spalony dom z lewej strony, następny był mego Dziadka, a na zgłiszczach domu sąsiada - pozuje 5 Niemców.



Foto-4

Jan Zuchowski

cd. w następnym numerze

Apel do Ludzi Dobrej Woli

Rodzice bardzo ciężko chorego i niepełnosprawnego Sławka proszą o pomoc i wsparcie w leczeniu i rehabilitacji syna:

Od Redakcji: Ww. prośba dotyczy syna naszego od dwudziestu lat współpracownika, który z pasją i niezwykłą sumiennością w obszernych artykułach (na łamach Kresowiaka zamieścił ich już ok. 300) wydobywa z mroku szlachetne jednostki i dokonania z których Lubaczów i Ziemia Lubaczowska jest dumna, ocala od zatracenia tematy i miejsca godne upamiętnienia. Czyni to bezinteresownie, nie pobierając wynagrodzenia. W popularyzowaniu rodzinnych stron idzie tropem swego zmarłego trzy lata temu ojca – Eugeniusza, równie aktywnego na naszych łamach kronikarza Lubaczowa mijającego wieku. Odpowiadając na Apel – miejmy swój wkład w pomocowy w realizacji potrzeb leczenia i rehabilitacji jego od lat bardzo chorego i niepełnosprawnego syna...

Marian Ważny



Otwórz swoje serce...

Podaruj Sławkowi na sprzęt i rehabilitację 1% podatku uzupełniając PIT o dane:

Numer KRS: 0000213751

oraz w pozycji „informacje uzupełniające” w formularzu PIT podaj cel szczegółowy 1% wpisując: „darowizna dla Sławomira Szajowskiego”

Należy również pamiętać o zaznaczeniu pozycji „wyrażam zgodę”.

H. WNIOSEK O PRZEKAZANIE 1% PODATKU NALEŻNEGO NA RZECZ ORGANIZACJI POŻYTKU PUBLICZNEGO (OPP) Należy podać numer wpisu do Krajowego Rejestru Sądowego (Numer KRS) organizacji wybranej z wykazu oraz wysokość kwoty na jej rzecz. AKTUALNY WYKAZ ORGANIZACJI POŻYTKU PUBLICZNEGO JEST DOSTĘPNY NA STRONIE INTERNETOWEJ MINISTERSTWA FINANSÓW http://www.deklaracje.gov.pl/index.php?page=OPP	
Numer KRS 0000213751	Wnioskowana kwota Kwota z poz. 123 nie może przekroczyć 1% kwoty z poz. 118, po zaokrągleniu do pełnych dziesiątek groszy w dół. KWOTA
I. INFORMACJE UZUPEŁNIAJĄCE Podatnicy, którzy wypełnili część H, w poz. 124 mogą podać cel szczegółowy 1%, a zaznaczając kwadrat w poz. 125 wyrazić zgodę na przekazanie OPP swojego imienia, nazwiska i adresu wraz z informacją o kwocie z poz. 123. W poz. 126 można podać dodatkowe informacje, np. ułatwiające kontakt z podatnikiem (telefon, e-mail).	
Cel szczegółowy 1% DAROWIZNA DLA SŁAWOMIRA SZAJOWSKIEGO	Wyrażam zgodę ☒

Serdecznie dziękuję za wsparcie.

Otwarcie biblioteki w Starym Lublińcu

Miesiąc temu drugi raz otwierano bibliotekę w Starym Lublińcu, która jest filią Miejskiej Biblioteki Publicznej w Cieszanowie. Powody zorganizowania tej uroczystości były dwa. Obiekt został powiększony, wyposażony w nowy sprzęt elektroniczny i stało się to w roku wyborczym, więc należało go pokazać w całej krasie. Czy wszyscy mieszkańcy Nowego i Starego Lublińca są z tego zadowoleni? Jak zawsze opinie w tej sprawie są dwie. Starsi mieszkańcy nie są zadowoleni, bo powiększenie sali bibliotecznej odbyło się kosztem likwidacji ośrodka zdrowia, który powstał w latach 60-tych ubiegłego wieku. Nikt nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności za jego likwidację. A miało być tak dobrze. Pamiętamy, że obecny burmistrz obiecywał w 2002, że w Dachnowie i Starym Lublińcu będą przyjmować lekarze -specjaliści. Dzisiaj to już historia, o której nie warto by było wspominać, gdyby zdrowie nie było wartością największą, a w Cieszanowie nie było kolejek do lekarzy rodzinnych.

Bardzo dobrze, że biblioteki publiczne mają i będą miały duże wsparcie finansowe ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Projekt sporządzony przez p. dyr. MBP w Cieszanowie uzyskał aprobatę wspomnianego Ministerstwa, które sfinansowało 75 % kosztów budowlanki i wyposażenia. Całość kosztowała 143.497 zł, z czego sama adaptacja pomieszczeń wyniosła 110 000 zł. W związku z tym, że p. dyr. występowała z trzema projektami, to każdy musiał być inny. Cieszanowski preferował *bajkoland*, dachnowski – *świat sztuki dziecka*, lubliniecki- *naukę i technikę*. Stąd w Starym Lublińcu znalazły się eksponaty nawiązujące do wyposażenia Instytutu nauki „Kopernik” w Warszawie, czyli inaczej tzw. Mały Kopernik. W związku z tym na największej ścianie wypisano między innymi wzory matematyczne na obliczanie objętości brył geometrycznych, a nawet coś z teorii Einsteina. Na stolikach poustawiano miniaturowe eksponaty ukazujące działanie różnych maszyn oraz gry interaktywne. Co do wartości kształcących niektórych z nich można mieć wiele do życzenia. Przykładem tego jest gra związana z geografą, gdzie dziecko po naciśnięciu odpowiedniego guzika może dowiedzieć wiele rzeczy o wybranym państwie. Szkopuł w tym, że w obu Amerykach w tej grze jest tylko pięć państw: Kanada, USA, Meksyk, Argentyna i Brazylia.

Chciałbym aby Szanowny Czytelnik i wszyscy, którzy interesują się książ-

ką – najogólniej mówiąc- uzmysłowili sobie, że szkolne biblioteki to ubogi krewny bibliotek publicznych i wydaje mi się, że te ostatnie będą dźwigać ciężar pracy z dziećmi w zakresie czytelnictwa książek i czasopism. Jest to bardzo duży, społeczny problem, bo statystyki mówią, że 60% Polaków w 2012 roku nie miało styczności z książką, a tylko co dziesiąty czyta powyżej sześciu książek rocznie.

Na część artystyczną złożyła się pomysłowa, ciekawa, tematyczna inscenizacja „Sąd nad książką”, w której brały udział dzieci i młodzież. Wystąpiły również dwie urodziwe i utalentowane nastolatki: Katarzyna Lesiczka i Agnieszka Kołodziej. Pierwsza z nich śpiewała, a druga akompaniowała jej na gitarze. Można było zauważyć, że był to występ profesjonalny i być może kiedyś wystąpią one w „Bitwie na głosy”. Jednocześnie można z tego wysnuć wniosek, że p. Leokadia Szczygieł – kierowniczka biblioteki ma wśród miejscowego społeczeństwa poważanie. Świadczy o tym też fakt, że starsi mieszkańcy wierzą, że założone przez nią Koło Emerytów liczące 35 osób będzie nadal aktywne, pozwoli na pożytecznie i przyjemnie spędzenie wolnego czasu wśród przyjaciół i sąsiadów. Pani Leokadia stawia sobie ambitne cele, uważa, że 88 czytelników w dwóch wsiach i dwóch dużych osiedlach po PGR, to trochę za mało. Ma swój plan poszerzenia grona czytelników i korzystających z innych form pracy tamtejszej biblioteki. Obserwując jej temperament, zaangażowanie można mieć pewność, że założy wymarzony przez siebie zespół śpiewaczy, który ma szansę na powodzenia, bo sąsiad zza ściany – kierownik filii Miejskiego Ośrodka Kultury i Sportu w Starym Lublińcu- Stanisław Tabor jest utalentowanym muzykiem, gra na trąbce i akordeonie, więc zespół nie musi występować a capella. Wieś ma fundusz sołecki i jeśli Rada Sołecka będzie widziała potrzebę pomocy, to na zakup strojów może ruszyć *kieszenią*. Byłby to pierwszy zespół śpiewaczy w gminie, który kontynuowałby dobre występy zespołu i chóru z Kowalówki. Przy Szkole Podstawowej w N. Lublińcu końcem lat 50-tych z powodzeniem działał teatr amatorski pod kierownictwem miejscowej nauczycielki Władysławy Adamek. Pamiętam nawet kilku aktorów: Pankracy Tabor, Jan Wingert. Powodzenie w realizacji ambitnych planów życzy syty artystycznych i kulinarnych wrażeń uczestnik uroczystości.

Edward Dziadula

BURZLIWE DZIEJE MŁYNA W CIESZANOWIE PRÓBY ODBUDOWY MŁYNA (CZ. V)



Maria Steudle, Niemcy

*Wydaje się nam, że przeszłość jest naszą własnością.
Otóż przeciwnie-to my jesteśmy jej własnością,
ponieważ nie jesteśmy w stanie dokonać w niej zmian,
ona natomiast wypełnia całość naszego istnienia.*

Leszek Kolakowski-filozof

Rodzina Komosińskich wracając latem 1944 roku do Cieszanowa zobaczyła swój dom i młyn w opłakanym, zniszczonym stanie. Dla dziadka Wawrzyńca był to prawdziwy dramat, bolesna strata, z którą nie mógł się pogodzić do końca życia, zmarł w styczniu 1973 roku. Długo nosił się z zamiarem odbudowy. Ale w tych trudnych powojennych latach brak środków finansowych nie pozwalał na taką inwestycję. Równocześnie i bariery urzędowe były nie do pokonania. Pocięciem był dokument wydany w 1948 roku przez Urząd Likwidacyjny, który poświadcza oddanie ruin młyna pod tymczasowy dozór Wawrzyńcowi Komosińskiemu. Dziadek został zobowiązany do zabezpieczenia mienia, tj. budynku młyńskiego wraz z urządzeniami. Zastrzeżono, że bez zgody UL w Rzeszowie, spisane go mienia nie wolno przenosić, niszczyć i przekazywać innym osobom. Ostatecznym kresem młyna i zatarciem śladów po nim była decyzja Urzędu Miasta i Gminy w Cieszanowie z dnia 28 sierpnia 1973 roku skierowana do naszego ojca Czesława Komosińskiego nakazująca całkowite rozebranie resztek młyna w terminie do 30 września 1973, motywując tę decyzję możliwym zagrożeniem dla bezpieczeństwa ludzi. Tak też się stało.

MŁYN WE WSPOMNIENIACH

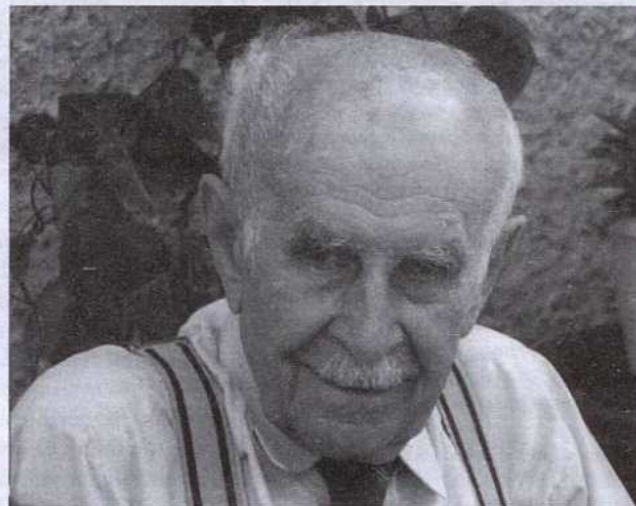
Dziadek Wawrzyniec wciąż tęsknił za młynem. Niemalże codziennie pielgrzymował do miejsca, gdzie stał jego młyn. Pograżał się w długie chwile zadumy i wracał zasmucony. Młyn w jego wspomnieniach był wciąż żywy. Często też głosem rwącym się ze wzruszenia opowiadał o młynie zadowolony, że mógł się uzewnętrznić ze swymi tęsknotami. Jego relacje były zawsze bardzo ciekawe, ciągle bowiem odnajdywał jakieś cząstki swojej biografii związanej z młynem.

Miejsce gdzie stał młyn również dla mnie jako wnuczki długo było jakimś magicznym miejscem. Z jakąś dziwną nostalgią wędrowałam tam, gdzie stał młyn, a później pozostało tylko opustoszałe miejsce za miastem. Stąd w kierunku południowym rozpościerał się widok miasteczka, a od północy rozległa panorama pól przeciętych wstęgą gościńca z wiecznie zieloną linią lasów na horyzoncie. I jakże żalosne pozostałości młyna. W otoczeniu zdziczałych jabłoni i czereśni resztki murów, schodów, drewniane belki z otworami, z których kiedyś sypała się mąka. Wśród zarosłego zielskiem podwórza ogromna studnia, obok niej pokryte rdzą metalowe obrzymie koło.

Nieraz próbowałam sobie wyobrazić jak to było niegdyś. Szum kamieni, nawoływania młynarzy, jedyny w tamtych czasach turkot zajeżdżających i odjeżdżających wozów. Zimą odgłosy dzwonek w sani i melodyjny warkot silnika niosący się daleko na całe miasteczko

i okolice. Robiło się jakoś smutno na duszy, gdy w młynie zalegała cisza-wspominał często dziadek. Czasami zastanawiam się dlaczego taki zły los spotkał mojego dziadka Wawrzyńca i jego młyn, bo przecież w Cieszanowie był i stoi do dzisiaj drugi młyn, którego ten los oszczędził. Nasz już zapomniany, bo młode pokolenie o nim nawet nie wie. A to przecież ich ojczyzna, ich kraj, kiedyś tak boleśnie doświadczony. A dziś chociaż po młynie ani śladu, na trwałe on jednak zadomowił się w mojej wyobraźni i zawsze budzi we mnie serdeczne skojarzenia. Wiadomo, nie ma dnia, abyśmy nie sięgali po chleb. Tematykę młyna odnajdujemy w piosenkach, legendach, a nawet w przysłowkach. Podejmując trud napisania historii młyna składam symboliczny hołd dziadkowi za szlachetną i jakże pożyteczną pracę oraz pradiadkowi, który ten młyn wybudował. Jestem przekonana, że dzieje młyna warte były przypomnienia. Gdybym tego nie uczyniła bezpowrotnie uległ by zapomnieniu tak cenny fragment historii mojej rodziny, ale także naszego rodzinnego miasta i pamięć o ludziach, którzy w nim pracowali i ten młyn w niemym trudzie stworzyli i prowadzili.

CZESŁAW syn WAWRZYŃCA



20 lipca 1920 roku w rodzinie Franciszki i Wawrzyńca Komosińskich przychodzi na świat syn Czesław, a osiem lat później w lutym córka Romana. Czesław w 1938 roku kończy Prywatne Gimnazjum Koedukacyjne w Lubczowie. Ze względu na trudną sytuację materialną rodziców nie może kontynuować dalszej nauki w liceum. Podczas okupacji przebywa u rodziców w Cieszanowie pomagając przy pracy w młynie, a także w gospodarstwie. W kwietniu 1940 roku Czesławowi grozi wyjazd na roboty do Niemiec. Ojciec Wawrzyniec zwraca się do burmistrza z prośbą o podjęcie starań, aby syna zwolnić z wyjazdu, argumentując to faktem, że pomoc syna Czesława jest

niezbędna przy prowadzeniu młyna. Starania zakończyły się sukcesem i Czesław pozostał w Cieszanowie. W sierpniu 1943 roku Czesław poślubia Stanisławę z d. Zuchowską.

Jeszcze trwała wojna, gdy Czesław Komosiński rozpoczyna pracę w Starostwie Powiatowym w Lubczowie jako rejestrator, a od 1946 roku jako instruktor pszczelarstwa i ogrodnictwa na powiat jarosławski i lubaczowski. Po wojnie jest znanym w powiecie spółdzielcą. Od stycznia 1947 roku pracuje w Związku Samopomocy Chłopskiej w Lubczowie, a rok później ponownie w Starostwie jako rejestrator-instruktor ochrony roślin. Praca ta jak i poprzednia pozwala mu dogłębnie poznać rzeczywistość powojenną powiatu. W 1957 roku zostaje wybrany do Zarządu Gminnej Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej w Cieszanowie, a dwa lata później zostaje jej długoletnim (16 lat) prezesem. Spółdzielnia zatrudniała ponad 100 pracowników i prowadziła kilkadziesiąt sklepów i punktów skupu produktów rolnych oraz restaurację „Piastowa”.

Przez całe życie Czesław Komosiński duży akcent kładzie na edukację i sam w tym względzie był wzorem do naśladowania. Cały czas się doksztalca, kończy wiele różnych kursów. W 1958 roku kończy 2-letnie Technikum Rolnicze w Suchowoli, a mając 54 lata, w 1974 roku dla własnej satysfakcji kończy Korespondencyjne Liceum Ogólnokształcące w Jarosławiu.

Czesław Komosiński formami zarządzania wyprzedzał swoje czasy. Dbał, aby asortyment towarów w sklepach był obfity i różnorodny. Nie zapominał o kulturze. W prowadzonych przez GS „Klubach Rolnika” kwitło życie kulturalne. To z jego inicjatywy obok bogatego zestawu prasy pojawiły się w klubach nawet reprodukcje malarskie.

Po przejściu na emeryturę nadal aktywnie uczestniczył w życiu społecznym miasta i gminy. Miał renesansową naturę, potwierdzała to nawet jego zewnętrzna elegancja. Był też humanistą obcującym na co dzień z książką i gazetą. Niezwykle czytany potrafił toczyć mądrą i interesującą rozmowę tak z rolnikiem jak i lekarzem. Interesowało go nie tylko zarządzanie, spółdzielczość, marketing czy strategia firmy, ale także bardzo interesował go człowiek, jego natura, miał nadzwyczajne wyczucie piękna, smaku, doskonałą intuicję co do ludzi, ich toku i sposobu myślenia. Byłby z pewnością dobrym nauczycielem, bo posiadał cechy właściwe dla dobrego pedagoga.

Moja kuzynka Maria Miałkowska z d. Ważna

cd. na str. 8

BURZLIWE DZIEJE MŁYNA

wspomina, że rok przed jego śmiercią rozmawiali o AK, UPA i ludziach, którym po wojnie przyszło żyć obok siebie w jednym miasteczku. Zapytała jak to było możliwe, że w jednym kościele w czasie mszy stały dzieci i żona człowieka, a obok nich zabójca ich ojca i męża. Co na to ludzie? Dlaczego my wnukowie nic nie wiemy? A nasz ojciec Czesław odpowiedział. Tak trzeba było. Trzeba było wyciszyć emocje i żyć dalej. Jakże to mądre. Potrafił mądrze poradzić i zatrzymać na zawsze w tajemnicy.

Kobietom prawil komplementy, dziewczynkom radził prostować plecy i ładnie chodzić. Chociaż nie znaliśmy się wtedy na rynku i marketingu, to coś w nas zostało, że trzeba się umieć prezentować. Uczył nas również, że wszystkie problemy, porywające emocje można rozwiązać spokojem i opanowaniem, myśląc rozważnie.

Żona Czesława – Stanisława zmarła już w 1990 roku mając 65 lat. Dzieci – Halina, Barbara, Wojciech, Maria, Bogusława i Andrzej, w tym Halina i Wojciech już nie żyją.

Czesław Komosiński zmarł w listopadzie 2007 roku skończywszy 87 lat, doczekał się 16 wnuków.

Pragnę serdecznie podziękować wszystkim osobom, które w jakikolwiek sposób pomogły mi w napisaniu tej naszej skróconej historii rodzinnej, a w szczególności mojej kuzynce Marii Miałkowskiej z d. Ważna (również za jej poetyczną nutkę), moim siostram – Basi Nienajdło z mężem Marianem i Bogusi z mężem Andrzejem Rogowskim oraz Jurkowi Plucha, p.mgr Stanisławowi Franciszkowi Gajerskiemu i p.Stanisławowi Szabatowskiemu.

Oczywiście podziękowania również dla Pana redaktora Kresowiaka Galicyjskiego.

Maria Steudle z d.Komosińska
Niemcy

Biblioteka nagrodzona

Miejska Biblioteka Publiczna im. Władysława Broniewskiego w Lubaczowie znalazła się w gronie dziesięciu najlepszych bibliotek w kraju. W dniu 7 marca w Pałacu Rzeczypospolitej jej dyrektor Katarzyna Pelc-Antonik i burmistrz Lubaczowa Maria Magoń odebrały nagrodę Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w uznaniu zasług dla promocji czytelnictwa. Podczas gali minister kultury Bogdan Zdrojewski nagroził pierwszą dziesiątkę rankingu bibliotek, organizowanego przez Instytut Książki we współpracy z dziennikiem „Rzeczpospolitą” oraz bibliotekami, bibliotekarzami i osobami pracującymi na rzecz bibliotek, które w sposób szczególny wyróżniły się w 2013 r. swoimi działaniami i zostały docenione w ważnych konkursach Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Informacyjnego, Akademii Orange oraz Instytutu Książki. W trakcie spotkania dyrektor Biblioteki Narodowej dr Tomasz Makowski przedstawił najnowsze wyniki badań stanu bibliotek publicznych w Polsce, dotyczące m.in.: zakupu nowości wydawniczych, liczby wypożyczeń w bibliotekach publicznych oraz liczby czytelników korzystających z tych bibliotek. Z badań wynika iż, w 2012 roku liczba wypożyczeń wzrosła o 1,1 procenta, a na zakup książek wydano ponad 13,4 procent więcej niż w roku poprzednim.

Obserwowany w ostatnich badaniach wzrost wypożyczeń i zahamowanie spadku czytelników w bibliotekach to bardzo pozytywne zjawiska. Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa zmierza do tego, aby te tendencje wzmocnić – dodał minister Bogdan Zdrojewski. - W kategorii bibliotek działających na terenie gmin wiejskich i miejsko-wiejskich oraz małych miast mających mniej niż 15 tys. mieszkańców lubaczowska biblioteka zajęła siódme miejsce w kraju na ponad 760 bibliotek biorących udział w tym rankingu. Instytut Książki i „Rzeczpospolita” od trzech lat nagradzają samorządy najbardziej zaangażowane w kulturalny rozwój swojej gminy. Doceniane są te, dla których dobrze działająca biblioteka jest świadectwem dbałości władz o zapewnienie łatwego i bezpłatnego dostępu do kultury, wiedzy i nowych mediów. W rankingu brano pod uwagę takie kryteria jak: powierzchnia biblioteki, średnie zatrudnienie w bibliotece, wielkość księgozbioru, wielkość księgozbioru nabytego po 2002 r., dotacje podmiotowe dla biblioteki w budżecie gminy, dostępne dla czytelników tytuły prasowe, posiadanie strony internetowej, dostęp do nowych mediów, ilość stanowisk komputerowych, dostęp do Wi-Fi, działające przy bibliotece kółka czytelnicze, artystyczne, literackie, wolontariat, udogodnienia dla osób niepełnosprawnych, książki dla osób słabo widzących i niewidomych, dane statystyczne dotyczące liczby czytelników i ilości wypożyczonych książek i inne elementy.

Nasza placówka to nie tylko wypożyczalnia książek, ale przede wszystkim lokalne centrum kultury i społecznej aktywności. Prowadzimy m.in. zajęcia dla dzieci, kółka zainteresowań, kluby seniora, konkursy, różnorodne akcje i liczne spotkania autorskie. Nasza biblioteka w ostatnim czasie została także gruntownie wyremontowana i doposażona, a czytelnicy mogą korzystać m.in. z bezprzewodowego internetu, katalogu online czy opcji „książka na telefon” – wyjaśnia dyrektor MBP w Lubaczowie Katarzyna Pelc – Antonik.

Adam Łazar

Rozrzutność finansowa naszych samorządów

W naszym powiecie większość gmin w tym i starostwo niebezpiecznie się zadłuża. Władze tłumaczą się, że jest to często jedyne wyjście aby finansować niezbędne inwestycje i zadania. Prawdą jest jednak, że gminy mają duże możliwości szukania oszczędności na własnych podwórkach.. Oto niczym nie uzasadniona jest rozpasać etatowe. Mam tu przede wszystkim na myśli etaty wiceburmistrzów, wicewójtów i etat wicestarosty. A stanowiska te kosztują. Przykładowo pobory w skali roku wicewójta w gminie Lubaczów wynoszą 91 tys zł, zastępcy burmistrza Lubaczowa i zastępcy wójta w Starym Dzikowie 83 tys zł. A pobory zastępcy starosty ponad 96 tys. zł. W podobnych granicach są dochody pozostałych zast. w powiecie. Gdy do tego doliczymy składki ZUS, fundusz socjalny, delegacje, trzynastki, okaże się, że w skali roku stanowiska te w powiecie kosztują prawie milion zł.

Obowiązki zastępców są dość abstrakcyjne. Jeden z nich zastrzegając sobie anonimowość mówi: - *Wprawdzie zastępuje zwierzchnika, ale nie wolno mi samodzielnie podjąć żadnej decyzji. Stąd też najczęściej jestem od komunikowania ludziom decyzji niepopularnych bo od tych pozytywnych jest burmistrz.* - Bardzo wymowny jest fakt, że nikt z zastępców na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat nie awansował w naszym powiecie na burmistrza czy wójta. A zdawać by się mogło że ci ludzie najbardziej predestynowani są do tych stanowisk. Wynika to z faktu, że przez zwierzchników są oni trzymani na krótkiej smyczy, co w konsekwencji pozbawia ich umiejętności podejmowania samodzielnych decyzji.

Z etatów tych, bez uszczerbku dla sprawności urzędów można zrezygnować. Wystarczy tylko większa operatywność wójtów i burmistrzów za co biorą przecież nieźle pieniądze. A skoro któryś z nich jak np. wójt gminy Stary Dzików wręcz mówi na sesji, że bez zastępcy by sobie nie poradził, to znaczy, że niezupełnie nadaje się na to stanowisko. Dotyczy to również innych włodarzy miast i gmin. Po prostu to oczywiste, że stanowiska burmistrzów i wójtów wymagają ludzi o dobrej kondycji posiadających umiejętność organizowania sobie pracy, a kto takimi atutami nie dysponuje nie powinien się pchać do sprawowania władzy.

Jeszcze na etaty wiceburmistrzów i wójtów można by było machnąć ręką, gdyby widoczne były znaczące osiągnięcia. A więc gdyby w nasze strony trafiali przedsiębiorcy i z tego powodu burmistrzowie i wójtowie byli w ustawicznych rozjazdach. Gdy jednak na naszym terenie mamy rekordowe bezrobocie, gdy nie przybywa inwestycji dających miejsca pracy, gdy brak innowacyjnych pomysłów to po co zastępcy?

Samorządowcom sceptykom w tej sprawie proponowałbym zaprosić na spotkanie prezydenta Stalowej Woli Andrzeja Szlęzaka, który już czwarty rok sprawuje rządy bez zastępców. A miasto liczące 70 tys. mieszkańców kwitnie pod jego rządami. Doprowadził do wybudowania sądu i prokuratury, powstała jedna trybuna stadionu piłkarskiego, zmodernizowany został stadion lekkoatletyczny, zbudowano miejsce wypoczynku – Rok 24. Prezydent odnowił śródmieście. Z jego inicjatywy powstał sztuczny strumień z rzeźbami w parku Piłata. W tej też kadencji otworzył siedzibę politechniki Rzeszowskiej, biblioteki międzyuczelnianej. Kończy się budowa systemu dydaktycznego dla KUL. Powstaje zakład przerobu odpadów komunalnych. I jeszcze znajduje czas na kontakty z powiatem lubaczowskim gdzie wszedł w skład komitetu budowy pomnika ku czci pomordowanych przez UPA.

Również w naszym powiecie nie ma zastępcy w gminie Wielkie Oczy i Narol. W dużej gminie Narol funkcje zastępcy z powodzeniem pełni sekretarz. Dzięki odpowiedniej organizacji pracy, podziału obowiązków gmina, mimo braku etatu zastępcy burmistrza, jest w powiatowej czołówce w podejmowaniu różnorodnych inicjatyw tak gospodarczych, społecznych jak i kulturalnych.

Proponowana reorganizacja z góry wiadomo, że spotka się z nieukrywaną niechęcią. Posiadanie bowiem zastępcy to komfort. W przypadku niepowodzeń jest się kim zasłonić. Można pozwolić sobie na większy luz. Ale wygodnictwo wójtów i burmistrzów kosztuje podatników. Nie dość, że kasa pusta to jeszcze hojną ręką tworzy się zupełnie zbędne etaty. Dziwi i niepokoi, że tego zjawiska nie zauważają radni.

Marian Ważny

Ołtarz w kościele Najświętszej Marii Panny w Narolu

Juliusz Ross w opracowanym przez siebie „Katalog zabytków sztuki w Polsce województwo rzeszowskie, powiat lubaczowski” pisze „Kościół parafialny pod wezwaniem N.M. Panny, pierwotnie drewniany fundowany przez Floriana Łaszcza Nieledeńskiego w 1595, znajdował się na Zagrodach”. W 1717 roku wizytujący parafie biskup Szembek stwierdził opłakany stan kościoła w Narolu Wsi (Zagrody były częścią Narola Wsi). Podczas kolejnej wizytacji ten sam biskup stwierdził, że z powodu zupełnej ruiny wszystkie co cenniejsze sprzęty zostały przeniesione do kościoła we Florianowie. Wreszcie w latach 1745-1750 proboszcz narolski Jakub Krassowski rozebrał walący się kościół i na jego miejsce postawił nowy. Pod koniec XIX wieku ofiarował on kościółek z Zagród, jako prezent ślubny do Łukawca swojej córce Marii, która wyszła za mąż za hrabiego Czosnowskiego. Jeden z trzech ołtarzy tego kościółka przechował się do naszych czasów w jednej z kaplic należących do parafii narolskiej. Jest obecnie pomalowany szarą, olejną farbą i czeka lepszych czasów. W roku 1785 podczas zmian granic diecezji stolicę parafii przeniesiono do Narola Miasta.

Powróćmy jednak na chwilę do początków Florianowa. Florian Łaszcza Nieledewski zachęcany przez króla polskiego założył miasteczko Florianów a zachodnią część Rynku przeznaczył na potrzeby kościoła. Wkrótce wybudowany został drewniany kościółek pod wezwaniem św. Floriana. W późniejszym czasie dobudowano kaplicę pod wezwaniem św. Anny i założono Towarzystwo św. Anny.

W pierwszej połowie XVIII wieku kościółek we Florianowie był w bardzo złym stanie. Podczas wizytacji biskupiej w 1772 r. proboszcz Józef Jan Łoza upraszał biskupa o interwencję u F.A. Łosia. Ten nie był przeciwny w sprawie budowy nowego kościoła, ale w tym czasie nasz wojewoda zaangażowany był w budowę pałacu na wzgórzu na północ od Florianowa zwanego już bardzo często Narolem Miastem (Narol Wieś zwany był Narolem Starym). Budowa pałacu trwała od 1770 do 1780 roku.

Budowę kościoła w Narolu Miście rozpoczęto około 1780 roku. Trwała ona dość długo. Kopalnia kamienia jak również cegielnia czynne były przez cały okres budowy. Drewno podarował Feliks Antoni. Budowę kościoła ukończono przed śmiercią hrabiego Łosia. W testamencie jego autorstwa czytamy: „Obowiązuję nominowanego dziedzica mego by fabrykę kościoła narolskiego podług planów dokończyć i cementarz sztachetkami obmurować nie zaniedbał”. Kościół w Narolu wybudowany został z myślą, że będzie to mauzoleum Łosiów.

Dnia 6 września 1914 roku kościół spłonął. Budynki mieszkalne przy ulicy Józefowskiej i Kościelnej pokryte były słomą. Gorące powietrze unosiło palące się snopki w górę a one spadały na drewniany dach (gonty) kościoła. Spłonęło wszystko wewnątrz kościoła a najważniejsze spłonęły księgi parafialne. Po wojnie władze miasteczka wystąpiły z prośbą do konserwatora krajowego Tadeusza Szydłowskiego w Krakowie. Tenże udzielił pomocy w kwocie 17 000 koron. Parafia otrzymała też pożyczkę w Rządowym Banku w kwocie 15 000 koron. W 1918 roku w odbudowanym kościele odbywały się już nabożeństwa. Wieża ukończona została w okresie późniejszym. Pozostał jeszcze problem ołtarza i organów. Ze starego ołtarza w narolskim kościele pozostał stół, wybudowany z kamienia. Stoi za nowym ołtarzem do dnia dzisiejszego. Nowy natomiast kupiony został przez Jadwigę Korytowską i został ustawiony prawie na dawnym miejscu starego. Jadwiga Korytowska córka Juliana Puzyny latem mieszkała w Narolu a w zimie we Lwowie. Tam dowiedziała się, że w jednym z lwowskich kościołów jest w magazynie rozłożony na części ołtarz, a właścicielem jest parafia rzymsko-katolicka przy kościele pod wezwaniem św. Marii Magdaleny.

Historia kościoła św. Marii Magdaleny jest bardzo ciekawa i sięga lat 1600-1650. Szlachcianka Anna Pstrokońska ofiarowała ojcom dominikanom działkę gruntu przy Drodze Sokolnickiej (od połowy XVII wieku ulica Sykstuska obecnie Doroszenki). W niedługim czasie dominikanie

rozpoczęli budowę pomieszczeń klasztornych. Pracami kierował architekt lwowski Marcin Godny. Budowę kościoła rozpoczęto w 1615 roku a ukończono w 1630. Świątynie wybudowaną w stylu renesansowym zdobi monumentalny ołtarz. Budowniczym ołtarza wykonanego w latach 1635-1639 był prawdopodobnie Wojciech Kielar. Kościół św. Marii Magdaleny orientowano na osi wschód-zachód (według tradycji i reguły św. Tadeusza ołtarz znajduje się w części wschodniej kościoła, główne wejście od strony zachodniej, kościół narolski natomiast wybudowany jest niezgodnie z regułą św. Tadeusza).

Około 1763 roku arcybiskup Wacław Sierakowski założył przy kościele klasztor parafii miejskiej. W roku 1784 nowe władze austriackie dokonały kasaty działalności klasztoru i seminarium ojców dominikanów. W tym czasie w klasztorze przebywało 14 mnichów. Budynki przekazano Galicyjskiemu Funduszowi Religijnemu. W murach dawnego klasztoru otwarto szkołę trywialną. Część pomieszczeń przekazano parafii św. Marii Magdaleny na plebanie. W roku 1841 Fundusz Religijny sprzedał budynek klasztoru na więzienie dla kobiet. Bez zezwolenia władzy kościelnej Austriacy wybudowali ścianę drewnianą pośrodku prezbiterium i jego części wraz z unikatowym ołtarzem przekształcili w kaplicę więzienną. W roku 1857 namiestnik Galicji hrabia Agenor Gołuchowski ufundował nowy neobarokowy ołtarz główny, który został umieszczony przy ścianie w tej części prezbiterium, która pozostała w świątyni. Ołtarz miał strukturę drewnianą, był obficie pozłacany. W części górnej ołtarza został umieszczony owalny obraz, który przedstawia Marię Magdalenę na modlitwie. Konserwator dr Józef Piotrowski, tak oceniał wartość artystyczną nowych ołtarzy: „Przy tymczasowej ścianie po



obu stronach zostały umieszczone nieestetyczne ołtarze, które przez swą strukturę rzemieślniczą i niewłaściwe umieszczenie zniekształcają całe wnętrze pięknie wybudowanego kościoła barokowego”. Opinia ta miała bardzo duże znaczenie dla losów ołtarza ufundowanego przez Agenora Gołuchowskiego. Ołtarze te (w tym i nasz narolski) po prostu stylem swym nie pasowały do stylu kościoła.

W roku 1923 na mocy decyzji Rządu Polskiego więzienie dla kobiet zlikwidowano. Kaplica więzienna po połączeniu jej z kościołem została przekazana parafii. Zaplanowano gruntowną konserwację świątyni. Remont rozpoczęto w 1925 r.. Rozebrany ołtarz umieszczono w jakimś pomieszczeniu, gdzie przeleżał dwa lata. O tym ołtarzu pewnego dnia dowiedziała się hrabina Korytowska, mieszkająca wówczas we Lwowie. Mamy informację, że jednym z tych, którzy składali ołtarz w Narolu był młody mężczyzna Józef Stoncyl. W 1985 roku uzyskałem informację o faktach dotyczących składania ołtarza w Narolu od pana Szczepana Wolańczyka zamieszkałego w Narolu przy ulicy Józefowskiej. Wymieniony tu p. Szczepan pamiętał, że ołtarz był zbyt wysoki, więc dołem podcięto go nieznacznie. Skrócony też został krzyż na szczycie ołtarza. O ołtarzu tym pisał też dr Mieczysław Orłowicz w „Ilustrowanym przewodniku po Lwowie” (Lwów-Warszawa 1925): „Wielki ołtarz ufundowany w 1857 roku przez Agenora Gołuchowskiego posiada prostolinijne formy przekwitłego empiru, nie ma jednakże jego elegancji, jest dość ciężki, do stylu kościoła niedopasowany”. Te cechy spowodowały, że władze parafialne zdecydowały się ołtarz rozebrać i złożyć w magazynie. Nie znamy ceny, jaką zapłaciła hrabina Korytowska. Nie wiemy też, w jaki sposób został przetransportowany ze Lwowa do Narola. Być może mieszkańcy okolicznych wiosek, a także z Narola Miasta przywieźli poszczególne elementy na wozach. To byłby najtańszy sposób transportu. Kilkanaście lat temu ołtarz narolski był konserwowany. Uzupełniono ubytki, drewno zabezpieczono przed szkodnikami. Duży udział w renowacji ołtarza w narolskim kościele mają mieszkańcy Narola i okolicznych wiosek.

Henryk Wolańczyk

Siedemdziesiąt lat pamięci o Rudce

*Umarłych pamięć dotąd trwa,
Dopóki pamięcią im się płaci*

Wisława Szymborska

O historii mówi się, że jest nauczycielką życia i potrafi zatoczyć koło i wrócić w pierwotne miejsce. Pierwsza z przytoczonych sentencji byłaby prawdą, gdyby nie część dyżurnych historyków, którzy na swój sposób interpretują fakty, zamiast je obiektywnie opisywać. Druga mądrość też sprawdza się tylko częściowo i sporadycznie, bo pierwotne miejsce już wygląda inaczej lub go nie ma wcale. Historia może dotyczyć większych lub mniejszych obszarów świata, kraju; jak też przeżyć osobistych. Ta ostatnia jest najbardziej wiarygodna jeśli tworzy ją osoba żyjąca i żyją też inni uczestnicy minionych zdarzeń, którzy mogą zweryfikować podane zdarzenia. Obie te sentencje w małym stopniu sprawdzają się w przypadku nieistniejącej wsi Rudka k/Nowego Brusna. Nacjonalizm ukraiński kwitnie na Ukrainie, nie wszyscy wy-

ciągnęli właściwe wnioski z przeszłości, a Rudka istnieje tylko w pamięci potomnych. Sprawa polsko-ukraińska ma długą historię ale ja chcę napisać parę zdań o teraźniejszości. Inaczej ten problem widzi się z fotela Senatu, gdzie uznaje się *Akcję Wisła* jako krzywdę Ukraińców a inaczej jak doświadczyło się zbrodni w swojej wsi i rodzinie. Chcę podkreślić z całą mocą, że nie chodzi o zemstę ale o pamięć i to pamięć obu stron.

Pomagamy Ukraińcom, jeżdżą tam na wyścigi przedstawiciele partii rządzących i opozycyjnych, *zlatują się* wysłannicy mocarstw. Jaki skutek tego wszyscy wiemy. Nikt za Krym nie chce umierać. Z pewnością nie jest to pora dyskusji jaka powinna być Ukraina, raczej wszyscy skupiają się na temacie jak możliwie duża powinna ona pozostać. Dla mnie niech ona będzie *wieliką, samostilną*, ale jej mieszkańcy muszą wiedzieć i pamiętać co robili ich ojcowie i dziadkowie w czasie II wojny światowej i kilka lat po niej. Jeśli chcą być w cywilizowanej Europie muszą się wyzybyć nacjonalizmu.

Co roku na Rudce odbywają się uroczystości upamiętniające mieszkańców zamordowanych w kwietniu 1944 roku. Często uczestniczę w rocznicowych uroczystościach i nie widzę na twarzach uczestników złości i nienawiści, raczej zadumę. W tym roku uczestnikom będzie zaglądał w oczy strach i obawa o spokój u najbliższego sąsiada. Zamordowani 19 kwietnia 1944 r. w Rudce zostali pochowani na cmentarzu parafialnym w Nowym Brusnie. W tej miejscowości kilometr dalej jest budynek szkoły, którą przeznaczono na ewentualny pobyt Ukraińców w razie przymusowej ucieczki do Polski, jako kraju sąsiedniego. To nie chichot historii, to współżycie dwóch narodowości, dwóch państw, to praktyczna realizacja *przebaczymy i prosimy o przebaczenie*. Poniżej przedstawiam w całości wspomnienia jednej z byłych mieszkank Rudki, która swoimi przeżyciami chce podzielić się z Czytelnikami i sposób ocalić je od zapomnienia.

Edward Dziaduła

Moja wieś Rudka

*„Gdy czas niszczy przeszłość,
możemy ją wywołać ponownie,
tylko pisząc.
Pisanie jest życzeniem,
by ją zatrzymać,
by jeszcze raz przebiec przez bramy
do kraju dzieciństwa”*

R. Schmidgall

zgodnie i solidarnie pomagali sobie wzajemnie, wieś była bardzo zżyta i w dużej części spokrewniona.



Moja wieś Rudka, w której się urodziłam, była pięknie położona, przy drodze z zachodu na wschód z Cieszanowa przez Chotylub do Brusna. Od strony wschodniej jest cmentarz, tuż za nim dwa gospodarstwa, a za nimi stoi kościół, za kościołem leży wieś Brusno. Od strony południowej rozciągają się pola uprawne, a za polami ściana lasu ciągnąca się na całej długości Rudki aż po stronę zachodnią i z tej strony wieś dochodziła do lasu zwanego „garbem”, bo jest tu wzniesienie terenu tworzące jak gdyby garb na plecach.

Strona północna: poniżej szosy leżą łąki przez które płynie rzeka Brusienka, a za łąkami też jest las na całej długości wsi ciągnący się aż do stawów w Chotylubiu. Rudka jest otulona z trzech stron lasami jakby płaszczem chroniącym ją przed wichrami i burzami.

Gdy przyszła wiosna śpiew ptaków w pobliskich lasach rozbrzmiewał przepięknym koncertem, którego można było słuchać i słuchać, a łąki które dotykały szosy pięknie kwitły i pachniały przeróżną wonią i tworzyły kolorowy dywan. To było cudowne miejsce. Stojąc na drodze zdawało się, że w tej wsi jest tak wesoło, bo za każdym spojrzeniem rozciągały się nowe przepiękne widoki. A tak do końca wesoło nie było, bo ziemia licha i piaszczysta, a ludzie niewiele tej ziemi posiadali i biedowali. Bo czyż można ze splachetka piasku wyżywić całą rodzinę? Ale mimo biedy ludzie żyli

stapowcy często przyjeżdżali autem do Rudki, aby ojca aresztować. Ludzie we wsi wiedzieli o tym i jak ktoś zobaczył auto z Niemcami natychmiast dawali ojcu znać, żeby się ukrył. Niektórzy posyłali nawet dzieci, żeby zawiadomiły ojca, bo na dzieci Niemcy nie zwracali uwagi. Dzięki tej solidarności Rudczan ojciec ocalał mimo, że Niemcy prześladowali go przez całą okupację.

Taka to była ta moja wieś - piękna, wesoła, otulona płaszczem lasów przed burzami i nawałnicami, ale niestety nie uchroniły jej te lasy przed najstraszniejszą nawałnicą band ukraińskich, a wręcz sprzyjały tej nawałnicy, bo banderowcy mogli po cichu podejść bardzo blisko do wsi, otoczyć ją i nikt ani jedna osoba nie przedostała się przez pierścień banderowców, którzy okrzygli ją, spalili i wymordowali jej mieszkańców i dzisiaj nie ma Rudki.

Już od początku roku 1944 coraz tragiczniejsze wieści zaczęły docierać do ludności na naszych terenach. O zbrodniach, napadach, paleniu wsi i mordowaniu ludności polskiej przez banderowców. W tej sytuacji mężczyźni w Rudce pełnili całymi nocami wartę, by w razie niebezpieczeństwa obudzić ludzi, aby zdążyli się ukryć. Ale gdzie? Nie przygotowano ani jednej kryjówki, żadnego schronu, naiwnie wierząc, że banderowcy nas nie spalą, że może nas to ominie. Niestety, nie ominęło.

Jest 19 kwietnia 1944 roku. Noc się kończyła, jeszcze było ciemno, warta przeszła całą wieś - było cicho i spokojnie. Mężczyźni pełniący wartę uznali, że już nic ludziom nie grozi i rozeszli się do domów pewni, że jest bezpiecznie. Ale banderowcy dobrze wiedzieli, że tak jest codziennie, bo w Rudce mieszkała jedna ukraińska rodzina.

Helena Bundrya z domu Zaborniak
cd. w kolejnym numerze

16 lutego

W Starym Lublińcu Marcin Sz. i Bartłomiej K. z Lubaczowa posiadali narkotyki.

17 lutego

W Budomierzu obywatel Ukrainy Wasyl K. zamieszkały w Madrycie podrobił dokument umowy kupna samochodu VW Polo.

24 lutego

W Horyńcu Andrzej D. w stanie nietrzeźwym prowadził samochód Opel Corsa. W Lubaczowie Kazimierz W. w stanie nietrzeźwym prowadził samochód VW Polo.

28 lutego

W Nowym Siole Grzegorz W. z Cieszanowa uderzył w twarz Pawła W. W Horyńcu Andrzej R. z Świdnicy podróżował w stanie nietrzeźwym motorowerem „Toros”.

3 marca

W Młodowie Andrzej S. pomimo zakazu i w stanie nietrzeźwym kierował ciągnikiem. W Niwkach Horyńskich Franciszek N. w stanie nietrzeźwym podróżował motorowerem.

10 marca

W Krowicy Samej Sebastian Ch. w stanie nietrzeźwym kierował samochodem Fiat CC.

12 marca

Sergiej M. z Włodzimierza Wołyńskiego podrobił umowę kupna samochodu Daewoo i okazał ją na przejściu granicznym w Budomierzu.

13 marca

W Lubaczowie Jan K. w stanie nietrzeźwym kierował samochodem Renault. Kangoo.

W Cieszanowie nietrzeźwy Michał J. kierował samochodem Skoda Octavia. W Hucie Różanieckiej Mariusz P. w będąc po wódce podróżował samochodem „Opel Vectra”.

W Starym Dzikowie Zygmunt Ż. pomimo zakazu podróżował rowerem.

18 marca

W Załuzu Leszek S. z Nowego Siola w stanie nietrzeźwym kierował ciągnikiem Ursus a w Narolu nietrzeźwy Adam G. podróżował rowerem.

W Narolu Maciej Sz. poprzez jazdę rowerem i to w stanie nietrzeźwym naruszył zakaz.

21 marca

Na drodze relacji Futory - Oleszyce kierowca samochodu osobowego 65-letni mieszkaniec Tomaszowa Lubelskiego na prostym odcinku drogi wyprzedzał dwa pojazdy i nagle kierowca jednego z tych pojazdów skręcił w lewo zderzając się z nim. W wyniku zderzenia pojazdy zjechały do przydrożnego rowu. Kierowca osobowego seata, 55-letni mieszkaniec gminy Oleszyce z obrażeniami trafił do szpitala. Obaj kierujący byli trzeźwi.

25 marca

Okolo godz. 19.45 na trasie między Cieszanowem a Nowym Siołem kierowca jaguara na zakręcie stracił panowanie nad pojazdem, wjechał do rowu i uderzył w drzewo. 23-letni kierowca zginął na miejscu, natomiast czworo pasażerów samochodu w wieku 19, 18, 16 i 14 lat zostało przewiezionych do szpitala.

Część spraw pozostaje w prowadzeniu. Ich przebieg oraz zakończenie może się różnić od opisywanych powyżej.



KRONIKA POLICYJNA

Kragły Goraj – góra magiczna

Czym dla naszych górali jest Giewont, dla słowackich Krywań, dla mieszkańców Orawy Babia Góra, dla wyznawców prawosławia podlaska Garbarka, a religii Słowian Ślęza – tym na Roztoczu powinien być Kragły Goraj. Choć minimalnie niższy od najwyższego na polskim Roztoczu szczytu Długi Goraj, dzięki osobliwemu kształtowi najlepiej zapada w pamięć.

Ten kształt o wszystkim decyduje – bo przecież obiektywnie prymat Długiego Goraja nie powinien być kwestionowany: o ile Kragły jest tylko jednym z nieliczonych wierzchołków górskich województwa podkarpackiego, o tyle jego sąsiad dumnie szczyci się statusem najwyższego punktu terenowego województwa lubelskiego. Ale czymże przewagi, widniejące na papierze, wobec tego, co da się zaobserwować gołym okiem? Toć płaski Długi Goraj nie wyróżnia się niczym, kopułkowaty zaś Kragły Goraj pięknie wystaje z równej linii lasu.



Bunkier o radzieckim rodowodzie

Kragły Goraj zawdzięcza swoją formę zdarzeniom tak dawnym, że nie zapisanym w żadnych źródłach, zbadanych za to przez geologów. Stożek, pokryty ziemią, porośnięty z kolei lasem, jest jednym z najstarszych ostańców roztoczańskich, zbudowanym z piasków wapnistych, poprzekładanych piaskowcami oraz ilami, a następnie oblanym kilkumetrowej grubości powłoką z wapieni rafowych. To dzięki niej zachował się – nomen omen – kragłość po dziś dzień, choć od czasów, gdy w okolicy tej rozciągało się morze, minęły miliony lat...

Magiczne wzniesienie ma dodatkową osobliwość: całkiem nieźle zachowany bunkier (czy raczej kazamatę broni maszynowej), zbudowany przez Rosjan, usiłujących w 1940 r. odgrodzić się od swej wierniej sojuszniczki, III Rzeszy, linią obronną, od nazwiska ówczesnego komisarza spraw zagranicznych (czyli ministra), a zarazem przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych ZSRR (a więc premiera) zwaną linią Mołotowa. Przyporządkowany punktowi oporu „Goraje” 6. Rawsko-Ruskiego Rejonu Umocnionego obiekt nie został wystawiony na próbę ognia – ani też, szczęśliwie, nie wpadł w oko saperom powojennego Ludowego Wojska Polskiego, lubiącego nabierać profesjonalnej wprawy przy okazji detonowania ładunków wybuchowych w nieużytkowanych bunkrach, i dzięki temu zachował się w całej okazałości.

Dla wędrowców, niezbyt dobrze radzących sobie z posługiwaniem się mapą, ma on dodatkowy walor: wskazuje, gdzie należy porzucić leśną drogę i pść się wzwyż, na szczyt Kragłego Goraja. Tego punktu już nikt nie przeoczy, znakuje go bowiem betonowy słupek, czyli punkt wysokościowy o numerze 273. Kiedyś było jeszcze lepiej, gdyż na Kragłym Goraju wznosiła się wieża triangulacyjna, z wierzchołka której można było obejrzeć rozległą panoramę – niestety, odkąd rozpadła się w 1970 r., nikt już nie pokusił się o odbudowę. Szkoda, bo mogłaby to być jedna z większych atrakcji Roztocza.

Tak czy owak: gdyby ktoś zakładał Stowarzyszenie Miłośników Kragłego Goraja – byłby jednym z pierwszych, zgłaszających doń akces. To góra, zasługująca na względy. Piękna. Charakterystyczna. Magiczna, po prostu...

Waldemar Bałda

KRESOWIAK GALICYJSKI

Adres redakcji: 37-611 Cieszanów, ul. Leśna 9, tel. kom. 661 631 213
Wydawca: Wydawnictwo Kresowiak, Rzeszów, ul. Zbyszewskiego 8/25,
tel. (017) 856 86 99

Redaktor naczelny: Marian Ważny

Zastępca redaktora naczelnego: Lidia Świder

Współpracują: Waldemar Bałda, Wiesław Kołodziej, Adam Szajowski,

Zbigniew Wróbel, Jan Zuchowski, Adam Łazar, Henryk Wolańczyk

Edward Dziadula, Janina Szajowska, Ryszard Kaczka, Piotr Zaborniak,

Zofia Makuch, Adam Wolańczyk

e-mail: kresowiakgalicyjski@wp.pl

Zamówienia na prenumeratę można składać bezpośrednio na stronie
www.prenumerata.ruch.com.pl

Druk: Drukarnia KOLOR-DRUK, 37-500 Jarosław,

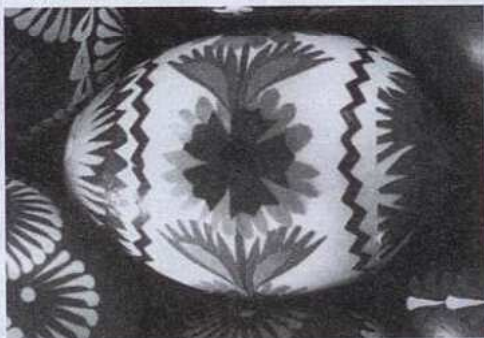
ul. Podzamcze 28b, tel./fax: (016) 621 62 31, www.kolordruk.com.pl

e-mail: kolordruk@onet.pl

Wielkanocne strzelanie

Na Wielkanoc - pobielone trzony kuchenne, izby, ściany chałup i drzewa w ogrodzie. Na „Ciemnych jutrzniach” cieszanowski kościół mroczny bez świateł, kwiatów, lichtarzy i obrusów. Smutno milczą organy. Z 15-tu świec po każdym psalmy ksiądz wyjmując ze stojaka jedną, gasi ją za ołtarzem, wraca i zgaszoną ustawia w świeczniku. Ostatnią - tzw. Chrystusową zostawia zapaloną. Towarzyszy temu głuchy dźwięk kołatek. Znam to z opowiadań ojca, który w tych latach dorastał (w 1920 r. miał 7 lat).

Piekło się już w „Wielki Czwartek”, cały dzień. Wyrośnięte buły, wąskie makowniki z rodzynekami. I ten zapach wanilii... Serniki, kruche placki z powidłami, wiśniami, okrągłe ciastka wykrawane szklanką, z dziurką od naparstka i wyrośnięte w formach puszyste opruszone cukrem pudrem albo oblane lukrem baby. Jedną malutką babkę pieczono specjalnie do koszyczka „z paską”. Kto miał formę wypiekał baranka lub zająca. W baniakach gotujące się szynki i boczki. Widok i węch kusił ale nic to - post!



- marynowany śledź, ziemniaki w łupinie, postny żur.

W „Wielki Piątek” kraszono pisanki. Pisano je woskiem i malowano, kolorowano na rudo gotowaniem w korze drzew (np. dębu) albo w łuskach z cebuli, a na zielono w świeżych żdźbłach żyta lub szczypioru. Na innych ornament wydrapywano kozikiem. Pisanki- drapanki pięknie wykonywał nawet swoją 97-letnią ręką mój ojciec, natomiast spośród malowanych najładniejsze pisała Danuta Płoucha - nauczycielka z Lublińca Nowego. Tarty chrzan gryzł w oczy ale Wielkanoc bez chrzanu jest „do chrzanu”. Po robotach do północy szło się jeszcze na adorację do „Bożego grobu”. W „Wielką Sobotę” ranne święcenie wody, takiej do pokropienia obejścia, zboża na siew i zaoranych zagonów, dobrej na wszystko - do przepędzania diabła, w zdrowiu i w chorobie. Potem święcenie święconki. Koszyczki przybrane barwinkiem i baziami dawniej nosły wyłącznie kobiety i panny, później również dzieci.

A o święcie w niedzielę...? Lata 1920-1930... ostatni dzień Triduum Paschalnego, Niedziela Wielkanocna zwana Wielką Niedzielą lub Niedzielą Zmartwychwstania Pańskiego. Był zwyczaj w Cieszanowie, że Straż Pożarna co roku w pierwszy dzień świąt wielkanocnych przed mszą rezurekcyjną wykonywała wiwatowe strzelania. Zmartwychwstanie Chrystusa oznajmiano wczesnoporannym uroczystym biciem dzwonów i kanonadą wystrzałów.

Cieszanowska Straż Pożarna posiadała 2 tzw. moździerze. Do tego potrzebny był jeszcze proch strzelniczy, drewniane kołki oraz kilkumetrowy średnicy ok. 8 mm drut. Moździerz hukowy był prowizorką wynikającą ze zmyślności cieszanowskich strażaków. Dawna nazwa z XIV wieku - „bombarda”, ale tu chodziło nie o bombardowanie a o strzelanie z hukiem. Był to umieszczony na kwadratowej podstawie żelazny okrągły słupek wysokości ok. pół metra z otworem wgłębnym o średnicy ok. 7-8 cm sięgającym dna. Zatem - niczym duża gilza z grubymi ściankami. Z boku w dolnej jego części był skośny do wewnątrz otwór. Do wnętrza moździerza wsypywano proch strzelniczy a następnie przekładano go ubitą papierową przybitką. Strażacy mieli przygotowane drewniane kołki z jednego końca przyciosane i przypasowane do otworu rury. Kołek wbity siekierą szczelnie zatykał wylot moździerza. Podstawa gwarantowała jego pionową pozycję. Podgrzany do czerwoności na ogniu ogniska drutem, z daleka przez dolny otwór zapalano proch. Ten przy wybuchu w swoim stężeniu ognia i ciśnienia wysadzał drewniany kołek wydając ogromny huk. I o to chodziło.

Nie strzelano podczas procesji i mszy, huk nie mógł zakłócać ceremonii. Przed Mszą św. uroczysta procesja z Najświętszym Sakramentem szła od Grobu Pańskiego przez kościół na zewnątrz i dookoła kościoła. Rozlega-

ło się głośnie „Alleluja!” Dawno, dawno temu cmentarze parafialne były przy kościołach a więc nie tylko żywym ale i zmarłym oznajmiano zmartwychwstanie [dekret cesarski Józefa II z 11 XII 1783 nakazał likwidację dotychczasowych przykościelnych cmentarzy i wytyczenie nowych poza obrębem miast].

Strzelanie odbywało się w Rynku opodal kościoła, przy tylnej ścianie murowanego żydowskiego domu. Żyd z przodu prowadził handel - sklep towarów przemysłowych, miał również materiały papiernicze, zeszyty i przybory szkolne, a na zapleczu sklepu mieszkał. Szyby drżały. Mógł mu kit z okien wypadać a tynk z sufitu spadać do łóżka... Z uwagi na bliskość huk był niesamowity. Nie wiadomo czy świadom corocznego zwyczaju strzelania pokornie go akceptował, czy złorzeczył, czy był w domu a może na ten czas każdorazowo wybywał. No ale gdzie się podziać o święcie?

Po mszy chłopcy ciekawi wcześniej słyszanych wybuchów biegli na miejsce skąd dochodził ich odgłos. Tam przy wygasłym już ognisku zastawali resztki drewna opału, strużyny z kołków, porozrzucone przybitki i wystrzelone kołki. Zachęceni zwyczajem starali się nie być dłużni strażakom i kombinowali swoje „strzelawki”, np. tzw. klucz strzelniczy. Najłatwiej było go przysposobić ze starego klucza od zamka komory czy od kłódki. Dawne klucze były duże i ciężkie a ich rurowaty trzon znakomicie się do tego nadawał, a poza tym posiadał rączkę. Zatem w tym czasie klucze ginęły w gospodarstwach, i potem od rodziców dostawało się burę gdy nie mogli znaleźć klucza od komórki czy szafy.



Były wówczas w handlu zapalaki z główką o łatwo zapalnej substancji (może z taką jak na filmach kowboje zapalają zapalaki od obcasa czy szyby, a nie jak dziś gdy lepiej od razu złożyć dwie-trzy, a gdzie powiastki o dzieleniu w czasach biedy zapalaki na czworo...). Tą substancję na główce nazywano - „siarka”. Było jej na patyczku jakby więcej niż dziś, główka była solidniejsza. Oskrobana siarka trafiała do otworu w kluczu. Ten musiał jeszcze posiadać bolec - iglicę z grubszego na płasko obciętego gwoźdźca. Bolec mógł być przypięty do klucza drutem lub sznurkiem. Po włożeniu tego tempa zakończono bolca do otworu napełnionego siarką, uderzaliśmy nim o coś twardego, o betonowy słupek parkanu czy ceglana ścianę. Następował wybuch. I o to szło. Kto głośniejsz strzeli, kto szybciej znów naładuje. Znow należało nastrugać siarki z zapalek o ostrą krawędź klucza i powtarzać zabawę wielokrotnie, do woli. Swoją „kluczy” miał każdy chłopiec w Cieszanowie i w Lubaczowie. Wszyscy w tym wielkanocnym czasie nosili te klucze po kieszeniach, które śmierdziały od spalonego fosforu. W latach w tym względzie mojej aktywności miałem też taki klucz i ja. Oskrobana z zapalek siarka służyła także do strzelania na płaskim kamieniu, gdy na nią położono drugi płaski kamień i przyciśnięto go z obrotem nogi - następował wybuch i huk.

W latach obejmowanych już moją pamięcią (lata 60-te) do tych wystrzałowo-hukowych celów oprócz „kluczy” powszechne w stosowaniu były puszki z karbidem. Mówiło się: „strzelają z karbidu”. Karbid - węgiel wapnia, w reakcji z wodą powstaje acetylen, gaz palny który po osiągnięciu pewnego ciśnienia i zapaleniu ulegał wybuchowemu rozkładowi, a zamknięty w puszcze po farbie olejnej powodował wybuchowe, głośnie wysadzenie zaciśniętego wieczka. A więc puszka z małą dziurką i wieczkiem, kilka bryłek karbidu do środka i odrobina wody. Trzeba było potem położyć puszkę poziomo i przytrzymać butem, i do otworu z drugiej strony przytknąć zapaloną zapalną. Huk był potężny. A wieczko? A wieczko należało szukać.

Był zwyczaj, była fantazja i byli wykonawcy. Tak dawniej witano Zmartwychwstałego. Młodzieży „chciało się chcieć”, to i postrzelali Jezusowi na wiwat. A dzisiaj? Jak będzie w zbliżającą się Wielkanoc - zobaczymy (usłyszymy)...

Adam Szajowski